

Nr 3

WRZESIEŃ 2003



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W GORZOWIE WLKP.
GORZOWSKI KLUB LITERACKI ZLP

Ireneusz Krzysztof Szmidt

Krótki kurs polityki dla starych i młodych poetów

W Gorzowie robi się gęsto od poezji. Nabrali oddechu w przepone starzy, na odwagę publikacji decydują się młodzi. Drukują się nowe książki, często wydawane za własne, poetów, pieniądze. Powstają kluby i salony literackie. Słucha się wierszy i mówi o nich w „Lamusie”, „Na Zapiecku”, Grodzkim Domu Kultury oraz w gorzowskiej i zielonogórskiej księżnicy. Rodzi się poezja w Sulęciniu, Skwierzynie, Żaganu i Żarach - na przekór szarej rzeczywistości kraju robiącego bokami jak stara kobyła, który oby przetrwał stadium najbardziej pod słońcem żarłocznego ustroju. Biedna nasza ojczyzna, która nigdy nie miała czasu i szansy, by zbudować nam słuszny byt i dobrobyt, została w to wpuszczona na własne życzenie przez swych zawiedzionych i zmęczonych synów. Odważnych, zdeterminowanych, ale niestety niedouczonej w jej współczesnej historii. Starsi z nich zapomnieli a młodszy nie doczytali w literaturze przedmiotu, ilu ich współbraci w ubiegłym wieku zapłaciło najwyższą cenę w imię sprawiedliwości społecznej. W imię godności ludzi pracujących na miliardowe konta właścicieli kopalń, manufaktur i fabryk, ponad własne i swoich dzieci siły, w nędzy i upodleniu. Naiwni oni, uwierzyli twórcom socjalistycznej utopii, że gdy siłą odbiorą i uspołeczniają to, co było prywatne, zapanuje braterstwo, równość i szczęśliwość powszechna, bo każdy za swą pracę będzie miał według swych zasług i potrzeb. Krwawili na barykadach rewolucji – poeci układali pieśni, cierpieli w więzieniach – poeci układali pieśni, ginęli na wojnach sprawiedliwych – poeci układali pieśni.

I gdy wreszcie zwyciężyli, okazało się, że wśród równych znaleźli się równiejsi, którzy piękną ideę zaprzęgli do własnej karety i na straży zdobyczy postawili „robotniczą” partię i prewencyjną cenzurę. Ci, którym władza poszła w smak, stali się na całe pół poprzedniego wieku, rzecznikami socjalizmu adaptowanego do własnych interesów oraz jedynie słusznej, jak głosili, społecznej i państwowej formacji. Ogłosili dyktaturę proletariatu, która wszędzie i pod każdym pozorem tro-

piła i produkowała swoich wrogów. Poetów, po odsunięciu wątpliwych, zapraszali na swoje salony, by dyktować im chwalcące ich karety strofy, a malarzom pędzle prowadzili po płótnie, rzeźbiarzom dłuta po marmurze, by nie zбочyli na formalistyczne manowce. Wznoszono pomniki i śpiewano pieśni zniewolonych poetów...

Obudzenie się, przy Okrągłym Stole, z pseudo komunistycznego letargu, polskiego kapitalizmu, który ledwie osiągnął po pierwszej a przed drugą wojną dojrzałość jednego pokolenia, otworzyło wrota politycznym cwaniakom na korzyści, które znowu mogli czerpać z władzy. Jedni skryci pod płaszczem demokracji w rachitycznych pseudo katolickich partiach, szermując szpadą tzw. „wartości”, bogacili się w imię moralnego odrodzenia narodu. Drudzy szybko poddali reformie przegrany światopogląd socjalistycznej utopii i już jako socjaldemokraci nie tylko zachowali dawne przywileje, ale dodali do nich nowe, tworząc arystokrację elit pod wodzą „baronów”. W sejmie jedni kompromitują drugich, a cham ma ich w dupie i pnie się coraz wyżej. Pleni się korupcja, rosną fortuny i bezrobocie. Inteligencja polska, a wśród niej poeci, żyje na granicy przeżycia. Zamilkli satyrycy, których po stracie „Szpilek”, stać jedynie na telewizyjne wygłupy; milczą o tym poeci. Mamy za to niezawisłość od drapieżnego ze wschodu sąsiada i za dwa lata perspektywę podróży bez paszportu na zachód.

Pamiętajcie poeci: idee zawsze są słuszne, bo rodzą się z marzeń. Są one projekcją nieograniczonej granicami, twórczej myśli – piszcie o tym, piszcie o polityce, której chcąc nie chcąc służą. Choć boicie się polityki, uczcie się polityki – nie mówcie, że jest wam obojętna, niepotrzebna do życia, bo któregoś pięknego, słonecznego poranka zapuka do was kolbami karabinów. Słuszne są także światopoglądy – każda religia prowadzi do wieczności.

Piszcie o tym, poeci – zasłużycie na wieczną pamięć.

Słuszna jest nasza Ojczyzna. Piszcie o niej - nie pozwólcie, by durnie, ciągle od nowa, dosiadali jej jak robiącej bokami, kobyły.

*Świetnie się wszystko układało
a jeszcze lepiej los nam wróżył
- Byliśmy wolni jak ptaszęta
radośnie pławiąc się w kałużu.*

*Wokół jest tyle pięknych rzeczy
które mieć trzeba jak najprędzej
- Kolejną metę mija wyścig
Tyle pieniędzy... ile nędzy...*

*W naszym imieniu je i pije
elita - toast zgodnym chórem
za nasze zdrowie niby wznosi
a w kości gra o naszą skórę.*

*Za bezcen poszły w pacht marzenia
do banków za lichwiarski kredyt
na wreszcie Mądrą Sprawiedliwą
co miała chronić nas od biedy.*

*Bezsilne opadają ręce
mężczyznom wstyd do łez się przyznać
- Na sprzedaż wystawiła godność
najlepszych synów swych Ojczyzna.*

*Spadamy z pięter ideałów
w sztolnie na śmierć skazanych domów
w sen fioletowy bez poranka
niemili Bogu, ni nikomu..*

*I nawet sobie niepotrzebni
więc nie żal pieprzonego życia.
lecz jeszcze przedtem Panu Bogu
czek wystawimy bez pokrycia.*

*Jeszcze płyniemy. Na pokładzie
orkiestra gra. Bal to ostatni...
A pod pokładem w kupie tajna
elita w tańcu opętańczym.*

Pamięci pisarza i przyrodnika

Do Gorzowa państwo Włodzimierz i Felicja Korsakowie przyjechali 7 lipca 1945 r. On miał 59 lat, za sobą wiele doświadczeń i sukcesów, ale choć nie był już młody, zachował pełną żywotność i przez następne 25 lat wiele wniósł do kultury polskiego Gorzowa.

Urodził się w 1886 r. w Anińsku, na dalekiej Białorusi, w ziemiańskiej rodzinie o tradycjach patriotycznych. Wzrastał w otoczeniu bujnej, puszczańskiej przyrody. Od najmłodszych lat chodził z ojcem na polowania, a gdy miał 12 lat, dostał pierwszą strzelbę. Uczył się w Rydze, studiował w czeskim Taborze, zjeździł Europę a także tereny obecnego Iranu i Afganistanu, głównie by polować i badać przyrodę. Pierwszy wilk, pierwszy niedźwiedź, pierwszy tygrys - to były etapy myśliwskiej drogi Włodzimierza Korsaka.

Swoje przygody i obserwacje opisywał w relacjach lub opowiadaniach od 1904 r. drukowanych na łamach specjalistycznego pisma pt. "Łowiec Polski".

Jesień i zimę 1917 r. spędził na wyprawie badawczej w Turkmenii. Gdy wrócił w rodzinne strony, już wiedział, że rewolucja zabrała mu wszystko, że trzeba zaczynać nowe życie.

Zaczął je w Warszawie. W latach 1922-26 był Wielkim Łowczym Rzeczypospolitej Polskiej. Zajmował się przygotowaniem takiego prawa łowieckiego, które ograniczyłoby rabunkowy odstrzał zwierzyny, nawet przez ludzi ze sfer rządowych. Doprowadził do reaktywowania hodowli żubrów w Polsce, jako że ostatni żubr żyjący dziko w naszych lasach padł z rąk kłusownika w 1919 roku. Zajmował się także pracą popularyzatorską i pisarską. W 1922 r. ukazała się pierwsza książka Włodzimierza Korsaka - "Rok myśliwego", która nie tylko propagowała piękno przyrody, ale stała się ówczesnym katechizmem myśliwych, pierwszym podręcznikiem ochrony środowiska naturalnego.

Dorobek literacki Korska układa się dwutorowo. Pisał monografie przyrodniczo-myśliwskie adresowane do myśliwych i oraz zbeletryzowane opowieści mające na celu propagowanie wiedzy o przyrodzie, adresowane w pierwszym rzędzie do młodzieży. Kilka z nich, np. „Na tropach przyrody” czy „Las mi powiedział” zalecane były przez Ministerstwo Edukacji do wykorzystywania w szkołach. Wszystkie swoje książki autor sam ilustrował, najczęściej rysunkami piórkim, co świadczy o jego talencie plastycznym. Zrobił także wiele bardzo dobrych zdjęć przyrodniczych.

W okresie międzywojennym pracował w lasach na terenach wschodnich, był łowczym w Dyrekcji Lasów Państwowych w Wilnie, organizował rządowe polowania, dbał o zrównoważony rozwój gospodarki leśnej.

Okres wojny państwo Kossakowie spędzili w Wilnie, natomiast po jej zakończeniu natychmiast zdecydowali się na wyjazd. Wtedy - w nieznane. Gdy pociąg dotarł do Poznania, zaradna pani Felicja Korsakowa odszukała już tam działającą Dyrekcję Lasów Państwowych i uzyskała dla męża skierowanie do pracy w organizowanej dopiero Dyrekcji Lasów w Gorzowie.

Kolejny raz musieli więc zaczynać od początku, ale sens pracy na rzecz przyrody i literatury był dla Włodzimierza Korsaka już niepodważalny. Pierwszy cel - na ziemiach zachodnich przywrócić stan fauny i flory, jaki był przed rozpoczęciem wojny. Cel dalekosiężny - doprowadzić do równowagi w relacjach człowieka z przyrodą, nie pozwolić człowiekowi na ujarznienie przyrody. Cel ten można było osiągnąć tylko znając, rozumiejąc i kochając przyrodę. A więc pisał, brał udział w spotkaniach, wygłaszał pogadanki aż do 1970 roku, kiedy to zdrowie nie pozwoliło mu na dalszą pracę. Był prezesem gorzowskiego oddziału Ligi Ochrony Przyrody i przewodniczącym Rady Łowieckiej.

Po śmierci żony przeniósł się do córki, która mieszkała w Żninie, a po przedwczesnej jej śmierci zdecydował się na zamieszkanie w obcym mu ogromnie Domu Spokojnej Starości w Krakowie. Tam zmarł i tam został pochowany, ale staraniem p. Zofii Nowakowskiej, jego gorzowskiej opiekunki i rzeczniczki, 10 lat później jego prochy zostały sprowadzone do Gorzowa, miasta, w którym najdłużej był związany.

Imię Włodzimierza Korsaka noszą trzy szkoły: V Liceum Ogólnokształcące przy ul. Okólnej, Gimnazjum w Lubniewicach i Szkoła Podstawowa w Łupowie. Na domu przy ul. Słowackiego 1, w którym mieszkali państwo Korsakowie, znajduje się pamiątkowa tablica. Na jego grobie stoi pomnik dłuta Jerzego Koczewskiego. Imię pisarza nosi niewielka uliczka w rejonie ul. Warszawskiej. Patronuje on rezerwatowi przyrody na jeziorze Janie w sąsiedztwie Lubniewic oraz ścieżce dydaktycznej w gminie Santok.

Z inicjatywy Gorzowskiego Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej Polskiego Związku Łowieckiego w 2002 r. Muzeum Lubuskie im. Jana Dekerta przygotowało i udostępniło w Spichlerzu stałą ekspozycję poświęconą Włodzimierzowi Korsakowi. Z tej okazji wydano specjalny numer muzealnego pisma pt. „Czas i Przestrzeń”. Ostatnia książka Włodzimierza Korsaka pt. „Las mi powiedział” ukazała się w 1969 r. a wybór tekstów z kilku książek pt. „Tamte polowania” opublikowało Gorzowskie Towarzystwo Kultury w 1983 r.

Krystyna Kamińska

„Ziemia Gorzowska” Nr 38, 18.09.2003



Korsak o sobie

Lasu i nocy nie bałem się nigdy od najmłodszych dzieciństwa, toteż samotne wycieczki o wszystkich porach dnia i nocy pociągały mnie zawsze. Mając ok. 11 lat, w cudowną noc księżycową, zaraz po Nowym Roku, zamiast iść spać, wykradłem się ze strzelbą na dwór i powędrowałem szukać wilków. Po paru godzinach pogoda się zmieniła, rozpoczęła się zawiewa i zabłądziłem na wielkim bagnie. Przygoda skończyła się tym, że matka, po odejście gości, których bytność posłużyła mi do ucieczki, weszła do mojego pokoju, aby synka na dobranoc pocałować i zastała łóżko puste, a brak strzelby i wołoków w szafie powiedział jej, co się stało. Zarządzony natychmiast pościg z pochodniami dopadł mnie zupełnie wyczerpanego o godz. 4 nad ranem i szczęśliwie przywiózł do domu.

„Z mojej włóczgi w kniejach Białej Rusi” s. 21
rękopis w Ossolineum - dokument 14271

Każdy wrażliwy człowiek szuka swojej wielkiej przygody życia. Taka przygodą był dla mnie las, myślistwo i w ogóle cała przyroda.

W liście do Jerzego Oleksińskiego

Chcę nauczyć myśliwych prawdziwego łowiectwa, ale przede wszystkim zarazić ludzi bakcylem wielkiej miłości do lasu, chorobą, na którą od lat jestem chory.

Z wywiadu dla „Nadodrza”

22 września minęła 30 rocznica śmierci Włodzimierza Korsaka - pisarza i przyrodnika, który 25 lat spędził w Gorzowie i miał znaczący wpływ na życie literackie naszego miasta oraz na propagowanie idei ochrony środowiska.

22 września br. o godz. 16.00 na grobie Włodzimierza Korsaka w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Komunalnym w Gorzowie, złożyli kwiaty literaci, myśliwi i uczniowie ze szkół noszący imię pisarza.

Rządowe polowanie w 1935 r.

Prezydent Mościcki zaprosił swoich gości na polowanie do Białowieży. Było ich tak dużo, że musieliśmy podzielić na dwie partie.

Stale (w obu grupach) uczestniczyli:

Pan Prezydent Mościcki w otoczeniu całego domu wojskowego i cywilnego, Józef Mościcki - radca, P. Bormans - powinowaty p. prezydenta, P. Romer - dyrektor protokołu dyplomatycznego, Herman Knothe - konsultant ds. łowieckich przy Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych, P. Nejman - dyr. Lasów Państwowych w Białowieży oraz łowczy - Włodzimierz Korsak

25 i 26 stycznia (piątek i sobota) 1935 r.

Greiser - Prezydent Senatu wolnego miasta Gdańska, Mjr Boetke - jego adiutant, Min. Pappée - komisarz generalny RP w Gdańsku, Min. Cudahy - ambasador USA w Warszawie, Janusz Jędrzejewicz - były prezydent RP, Ministrowie Michałowski i Kościalkowski, gen. Pawłowski - wojewoda białostocki, gen. Piłskor, Janusz ks. Radziwiłł - senator, prezes Donimirski

28 i 29 stycznia

Goering - premier pruski, Kendell - naczelny dyrektor lasów Rzeszy, Hausendorff - łowczy pruski, Mentke - adiutant premiera Goeringa, Min. Moltke - ambasador Niemiec w Warszawie, Min. Szechenyi - poseł węgierski w Warszawie, Min. Bohemann - poseł szwedzki w Warszawie, Min. Lipski - ambasador RP w Berlinie, Wł. Raczkiewicz - Marszałek Senatu RP, Poniatowski - minister rolnictwa, Lorent - naczelnik Lasów Państwowych, Gen. Kazimierz Sosnkowski, Gen. Kazimierz Fabrycy, Karol ks. Radziwiłł, Maurycy hr. Potocki i Włodzimierz Korsak.

Panie: Mościcka - małżonka, Bobkowska - córka, Józefina Mościcka - synowa, Świtalska, Kalińska, Romerowa, Głogowska i Zaniewska

Ponieważ pomimo rozdzielenia gości na dwie partie, ilość myśliwych była bardzo okazała, utworzony został tzw. folwark, tj. dodatkowe polowanie na mniejszą liczbę strzelb.

Przy marnej pod względem łowieckim, bezśnieżnej zimie, z powodu której łowy białowieckie opóźniono o dwa tygodnie, organi-

zacja skutecznych miotów była bardzo utrudniona. Przez dwa pierwsze dni formalnie wiosennej odwilży, zjadającej reszki i tak mizernej powłoki śnieżnej, nie można było oprzeć się na tropieniu. Dopiero następne dni ponownie ubrały las w śnieżną szatę ułatwiając łowy i nadając specyficznego uroku dzikiej kniei.

Rozplanowanie miotów na dziki, które miały być podstawą łowów, utrudnione było przez niezwykle urodzaj żołądzi, dzięki czemu dziki, nie ściągając do miejsc stałego dokarmiania, rozproszyły się po całej puszczy i rezultat pędzeń był gorszy, niż się spodziewano.

Mioty szły nadzwyczaj sprawnie, jeden po drugim, przy podwójnej nagance zaopatrzonej w smolne łuczywa, obstawieniu skrzydeł ludźmi i planowo obmyślonej działalności podwódek rozwożących myśliwych. Główny plan i kierunek miotów opracowany był teoretycznie przez p. Nejmana - dyrektora Lasów Państwo-



W Puszczy Białowiejskiej. Pierwszy od prawej łowczy Włodzimierz Korsak

wych w Białowieży i przez inż. Knothego.

Pierwsze dwa mioty w piątek (25 I). Ze skrzydła, na którym stałem usłyszałem 11 strzałów w pierwszym i 10 strzałów w drugim miocie. Wracając linią liczyłem pokot: 3 rysie, 5 dzików (...) Potem było gorzej. Św. Hubert przysłonił siwym kapturem swe szczodre oczy. Następane 4 mioty dały 6 dzików, 1 lisa, parę jarząbków.

Drugi dzień łowów dał na głównym polowaniu jedynie 6 lisów i kilka zajęcy, a na folwarcznym 2 dziki.

Pierwsza partia gości odjechała. Niedziela, dzień odpoczynku, przeszła w spokojnie w cichym domowym nastroju. Pogoda dostosowała się. Wiatr huczący stale w konarach drzew, umilkł zupełnie.

W poniedziałek druga partia gości stanęła do apelu. Byłem tego dnia „na folwarku” i chociaż miałem przyjemność zabicia ładnego, dość

niedużego odyńca, ale ominęło mnie szczęście ujrzenia w kniei najpiękniejszego trofeum całych łowów - wspaniałego rysia, kota zabitego przez radcę Józefa Mościckiego. Był to okaz niepospolity o wadze 27 kilogramów, wielkości dużego psa z głową dorównującą bez mała głowie człowieka.

Porządek dnia był ściśle nakreślony i przestrzegany. Ranne śniadanie między siódmą a siódmą i pół. O wpół do ósmej wyjazd, po trzecim lub czwartym miocie śniadanie w gajówce lub w pawilonie leśnym specjalnie w tym celu zbudowanym. Po powrocie w pałacu herbata w strojach myśliwskich, potem ogólny odpoczynek w swoich pokojach. O ósmej obiad w strojach wieczorowych. Potem rozmowa w salonach urozmaicona miłą obecnością pań i trwająca nieraz do 11 w nocy.

Ogólny pokot wynosił: 4 rysie, 4 dziki, 7 lisów, kilka zajęcy i jarząbków. Pan prezydent - 2 dziki i lis, premier Goering - 3 dziki, Józef Mościcki - 2 rysie.

W sobotę i we wtorek wieczorem przed gmachem pałacu - przepięknie otrąbiony pokot przy smolnych pochodniach.

We wtorek rano osznurowane zostały dwa wilki, a ponieważ Goering nigdy jeszcze na wilka nie polował, więc postanowił zostać jeszcze na środę i spróbować szczęścia. Pozostał więc on i wszystkie towarzyszące mu osoby.

We środę o 7 rano byłem już z Maurycym hr. Potockim przy sznurach. Ogłędziny wypadły dobrze, wilki nie wyszły. Nim goście przyjechali, zrobione zostało stanowisko

w jednym z rogów, o 60 kroków w głąb miotu. Walił gęsty śnieg. Myśliwi stanęli przy sznurach po trzech bokach i mieli strzelać do wilków dopiero po strzałach gości. Pierwsze pędzenie wypłoszyło wilki, które przywarowały snadź w gęstwinie. Dopiero pod koniec drugiego pędzenia padły dwa strzały ze stanowiska w rogu i na tym się skończyło. Goering postrzelił jednego wilka, po czym oba przeszły przez sznury w niestrzeżonym miejscu. Dały się jednak widzieć przed strzałami kilku osobom. Miedzy innymi ambasador Moltke był zachwycony tą wizją krwiozerczego zwierza na przepięknym tle ośnieżonej, świerkowej gęstwiny. Nazajutrz o dziewiątej odszedł pociąg uwożący gości z Niemiec.

Idziemy ku sobie

Kultura powstająca na pograniczu, każdym pograniczu, wymaga rzetelnego dialogu i współpracy ze stroną sąsiedzką. Takie intencje przyświecają bez wątpienia polsko-niemieckiej antologii poetów, której tytuł w języku niemieckim brzmi *Wir finden zueinander*, a po polsku *Idziemy ku sobie*. Rzeczą wydało aktywizujące się ostatnio Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenal” z Gorzowa. W obrębie tej książki ma miejsce dialog kilku poetów środkowego Nadodrza, zarówno polskich, jak i niemieckich. Teksty możemy czytać w językach ojczystych, jak i w przekładzie. Czyli: poezję np. Janusza Koniusza znajdziemy po polsku oraz w wersji niemieckojęzycznej. Na ważny dialog tej książki składają się wiersze Zdzisława Morawskiego i odpowiadające na nie utwory Helmuta Preislera, który zarazem występuje tu w roli tłumacza. Jest ich zresztą

kilku. Głównie jednak mamy do czynienia z przekładami Jolanty Sachers, ale też np. Karin Wolff (poezje Papuszy i Kazimierza Furmana). Chęć zauważyć, że dwa lata temu w Zielonej Górze ukazała się antologia poetów *Zywe oczy wiersza (Augen des Gedichts)*, też w wersji polsko-niemieckiej, nastawiona wyłącznie prezentacyjnie wobec czytelnika zza Odry. Taki był jej cel i jakiś z tym związany atut. Ta wyżej wymieniona, gorzowska, powstała wy-



łącznie z myślą o poetyckim dialogu polsko-niemieckim. Co też jest jej atutem. Inna jednak jest, że się tak wyrażę, jej genealogia. Wydana została bowiem w dziesięciolecie powołania Niemiecko-Polskiego Biura Literackiego Regionu Nadodrzańskiego we Frankfurcie nad Odrą i Stowarzyszenia Literackiego „Prom” w Gorzowie oraz wydawanego przez te stowarzyszenia polsko-niemieckiego pisma literackiego *Die Fähre/Prom*, którego to nazwę wymyślił Zdzisław Morawski. On to zresztą był pionierem tej nowej współpracy. Gdyby nie nagła śmierć, potoczyłyby się te kontakty jednak trochę inaczej, niż to ma miejsce obecnie, kiedy to środowisko gorzowskie niemal wyłącznie bierze w nich udział. Czy tak to ma wyglądać?

Antologia poetów stanowi więc ukoronowanie dekady współpracy i swoistego zarazem jubileuszu dziesięcioletnich, przygranicznych

spotkań. Takie założenie przyjęli jej twórcy. Tłumaczają to we wstępie słowami Ireneusza K. Szmidta. Poezje, które do niej weszły „zebraлиśmy najlepsze publikowane we wszystkich jego edycjach”. Edycjach *Die Fähre-Prom*. Można przyjąć, że takie kryterium jest przejrzyste. To prawda. Niektórzy z lubuskich poetów w *Promie* nie publikowali swoich poezji. Nie mieli tego szczęścia. Stąd i do Antologii wejść nie mogli. Przy takim uściśleniu trudno nawet mieć pretensje do jej redaktora Ireneusza K. Szmidta, że kilku przynajmniej uznał za słuszne nie uwzględnić, mimo, iż dla zobrazowania pełnego obrazu lubuskiej poezji byłoby to potrzebne. W efekcie antologia *Idziemy ku sobie* skutkuje niedosytem, częściowością tego dialogu poetów, bo polega na zaakceptowaniu ograniczenia ambicji prezentacyjnych. A przecież właśnie przy takiej, pięknej,

bądź co bądź okazji, można byłoby się pokusić o zrobienie dobrej, szerokiej antologii, która wreszcie pokazałaby, czym ta poezja lubuska naprawdę dysponuje, bo poza wymienionymi poetami dysponuje jednak jeszcze kilkoma innymi zjawiskami. Tak więc kryterium doboru skutkuje, ni mniej, ni więcej tylko przyjęciem zawężonej optyki. Mimo to nie deprecjonowałbym znaczenia tej książki. Jest wysiłkiem we właściwą stronę. Daj Bóg, jeśli owych trzech poetów zielonogórskich i siedmiu gorzowskich, z poznańskim Nikosem Chadzinikolau, będzie „dokumentem ciągłości życia literackiego

po obu stronach Odry oraz dowodem naszego współlistnienia w zjednoczonej Europie”. Jeśli już jestem przy liczbach, to chcę tylko zauważyć, że wobec dziesięciu poetów z polskiej, lubuskiej strony prezentuje się jednak czternastu poetów niemieckich. Czyli z rachunku wynika, że jesteśmy w mniejszości. Tak jakby to miało oznaczać, że liryka nasza jest po prostu mniej znacząca, ta liryka, która nie miała okresu twardego, eneradowskiego socrealizmu. Ale Antologia poetów jest. I póki co, zbyt szybko następnej nie należy się spodziewać.

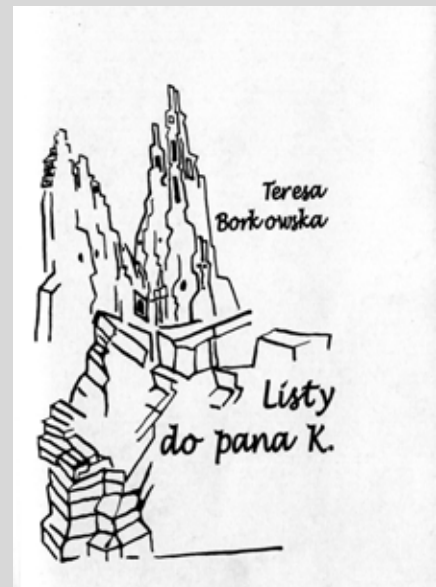
Czesław Sobkowiak

Antologia polsko-niemiecka *Idziemy ku sobie*

Antologia poetów: *Idziemy ku sobie / Wir finden zueinander*, redakcja Ireneusz K. Szmidt, grafika Romana Kaszczyca, Gorzów – Frankfurt n.O. 2002, s.192.

Nowe książki

Z radością informujemy o ukazaniu się dwóch nowych, bardzo interesujących, książek poetyckich autorów gorzowskich. Drugi swój tomik pt. „Listy do Pana K.” wydała Teresa Borkowska. Także drugą książkę literacką pt. „Do nieba nie trzeba się spieszyć” opublikował ks. Marek Grewling, którego witamy w gronie członków zwyczajnych Związku Literatów Polskich. Omówimy je szerzej w 4 numerze „Pegaza”.



ma być nowy wiersz
proszę bardzo

straciłam kilkanaście lat
aby zmądrzeć zgłupieć

nie zmądrzałam
dzisiaj pustka
cholerna
pusta

a mądrość

miłość jest jej sterem

jeżeli nie kocham
mnie nie ma

Teresa Borkowska



Zdzisław Morawski

Z Odrą pisane

Zapraszam cię, Helmut, do pisania Odrą
Ciebie dlatego, że my w jednym wieku
Doświadczeni wojną – połączeni Odrą
My obaj wiemy – płonęła Warszawa
Ogień zamek strawił – tam fotel króla
Nalot Drezno zburzył
Anny zapis spopielił
Czas Komnenów sponała księgą Aleksjady
Wodami rzeczy czas nas wciąż obdarzał

Odrą z prądem ruszymy zapewne kajakiem
– pierwotni wędrowcy po pierwotne runo
słowa najlepszego dla dziś i dla jutra –
Jeżeli zechcesz

Słoneczne błyski raz po razie zbierać
Piórkami wiosel, topić je wśród rzeki
By się z drogą Odry podłużnie układać
Jak światło z łąką – wysiłek z przepływem
Drzewa z zielenią, bo mają ją w sobie
Głęboko pod korą, gdzie liść czeka wiosny
By pąkiem się wykluć za naszym staraniem
I rozwinąć kwiatem
I na tym liściu – naszym papirusie
Spiszemy testament tego poematu

A jeśli zechcesz popłynąć odwrotnie
Burlaczyl będziesz piórem mokre słowa
Głęboko do źródła najstarszych pokładów
Tam gdzie prowadził trakt rzecznych karawan
Dunaj Istry miał imię
Odra była Viadriną
Popłyniemy z nurtem więc staniemy w miejscu
Razem z masą wody zaprzeczmy racji
Że nikt nie przekroczy dwa razy swej rzeki
Jak nam przekazał testator Heraklit
My mu zaprzeczmy jako zaprzeczamy
Że woda nas dzieli
Że wasze szczupaki gonią nasze płocie
A kiedy rzucimy na wodę szałwii
Sołtys nie rozsądzi
Czyja ryba na jaki złowiła się haczyk
Ni sołtys, ni sędzia, nawet nauczyciel
Bo to jest strefa działania poety

Zapraszam cię Helmut, do pisania Odrą
Jednaka woda jest na obu brzegach
Jednako żyzny dla brzegów atrament
Jednym rysunkiem piszą się litery
Jednaki błękit i taki sam obłok
Co w nim płyniemy i z nim przenosimy
Zebrane na brzegach zakłęcia kochanków
– Ich liebe dich, Martin
– Ja kocham cię, Marta

Bogate są brzegi w lasy i uczucia
Bogate w żyto, w trawę, w kwiaty
Po obu stronach są nauczyciele i matematycy
Rosną też całe grzędy urzędników
Lecz nie sędziowie ani urzędnicy
Powiedzą prawdę o rzece, że łączy
Dwa brzegi razem
Ta prawda w tęczy
Nad krajem pogody, gdzie żyją poeci

Bogate są brzegi bogatymi ludźmi
Co mają banki przepełnione myślą
– to strefa mędrców –
Czeki wypisują z mądrego pokrycia
Dla jutra bez granic
Dla rzek i języków
Którymi pragną zauroczyć dzisiaj
Odry ludzką sferę

Bogate są brzegi, ale rzeka pusta
Woda nie dźwiga barek ile trzeba
Nie płyną tratwy – Flisak słowo obce
Zaledwie księżyc na nurt światło kładzie
Może to będzie ostatnia już tratwa
– Ostatnia i nowa –
Jaką retman poeta aż do ujścia szałwi

Zapraszam cię, Helmut, na srebrzystą podróż
Następnym poemat zaczniemy o świecie

Helmut Preissler podjął poetycki dialog ze Zdzisławem Morawskim. Został on opublikowany w Niemiecko Polskim Magazynie Literackim „Die Fähre/Prom” nr 2/3 w 1993 r.

Helmut Preißler

Odpowiedź dla Zdzisława Morawskiego (1)

Zdzisławie, dziękuję dobry druhu!
Jak po długo ciężkiej ciemności
promień słońca dach lasu przebija
i ogrzewa, i rozjaśnia powietrze,
i sprawia, że na paprociach i mchach
łzy skrzącymi perłami się stają,
że barwy mocy nabierają,
skostniałe poruszają się zaczyna,
a nawet, że i cienie tańczą, –
Tak duch słów Twoich przyjaznych,
na poetycką wędrowkę wezwanie,
poruszył i mnie.
Od dawna już wysechł
strumień wierszy moich,
źródło zasypałe
pod gruzami upadłej
i ukamienowanej późnej nadziei.
I nagle piszę od nowa!
Twoje wołanie echa wymaga.
Tęsknota, by odpowiedzieć,

silniejszą jest od przytłaczającego ciężaru
i żąda,
by struga zasypisko przeniknęła
i wahając się płynąć zaczęła.
Jakby po omacku,
niepewnie,
słowa odnajdują się w zdaniach,
formują się w wers na powrót.

Cichym i ponurym
stało się me wnętrze.
Zamilkło przyjazne echo wierszy moich,
zagaśł odbłask mojej tęsknoty,
nadzieja zmarła na jaśniejszym niebie.
Jak za złym czarem w baśni,
złoto nagle śmieciem się stało,
obrzydłym monstrum niegdysiejszy bohater,
zbrodnią stała się miłość,
a zasługi piętnem –
piękno trądem,



Rys.: Romana Kaszczyć

prostota – pełnią winy.
Dopiero co chwalcące usta
rzuciły potępienie,
dopiero co pozdrawiająca ręka
rzuciła kamień.

Oczywiście znasz to – tak jak ja,
doświadczyliście tego podobnie –
nasz wysiłek długo wypaczony,
nauka – w dogmacie zdeprawowana,
nauczyciele – obłudni kapłani,
ludu przyjacieli i świata reformator
próżnymi despotami się stali.
Ach! Utopio, do której dążyliśmy:
kraino gnuśnych, pieczonych gołąbków!
Nim spostrzegłem,
wino octem się stało,
radosne obchody –
gniewnym opłuwaniem.

Zdzisławie, wybac ten lament!
Gdy wody długo wstrzymywane
na koniec poruszać się zaczęły,
są zmaczone,
śmiecie niosą i błoto;
gdy już ruszą,
wyzwalają się prędko i wkrótce
płyną pogodnie ku morzu.
Uwierz przyjacielu,
już niedługo
wiersze me pojaśnią.

GAŚSIOR czyli o spraw codziennych przemijaniu

*Zamierzam
pisać o spraw
codziennych przemijaniu
o tym że zmarszczek
przez noc mi przybyło
że wolniej niż kiedyś
na swe piętro wbiegam
że cierpię przez kobietę
którą tak kochałem*

Gąsior (czytaj: Jerzy Gąsior) wydał trzeci tom wierszy. Nadał mu tytuł „Dlaczego”. W formie graficznej, w liczbie stron i w liczbie wierszy (zawsze około 100) podobny do dwóch wcześniejszych. Tym samym spełnił regulaminowy warunek ilości pozycji autorskich do przyjęcia w poczet członków Związku Literatów Polskich, a i jakoś tekstów pomieszczonych w we wszystkich trzech zbiorach także nie powinna wzbudzić większych zastrzeżeń Komisji Kwalifikacyjnej ZG ZLP.

Pierwszy tomik pt. „Z szuflady wyjęte” ukazał się w czerwcu 2001 roku i jak tytuł sugeruje, składał się z wierszy pisanych przez wiele lat, bo Gąsior (rocznik 1941) pisał, nie ujawniając się, od młodości. Tomik ten był dla mnie zaskoczeniem i co ważniejsze miłym odkryciem całkiem niebanalnego, kolejnego talentu znanego w środowisku plastyka.

Jak to się stało, że w czasie zaledwie 36 miesięcy ułożył i ogłosił drukiem aż trzy tomiki, skoro w pierwszym deklarował, że „nie chce być poetą/ skoro już wiersze/ tworzą komputery”. Przeżyte lata i doświadczenia złożyły się na pogodzenie się z rzeczywistością nie w imię rezygnacji, a z nadzieją nawet na to, że dziś „nie runie kolejny samolot”. Wyrazem tej przemiany jest również stosunek do swojego dorobku poetyckiego. Pisane do szuflady wiersze, autor nareszcie wyjął i innym pozwolił przeczytać. Wiersze proste, trafiające do serca i do rozumu, bez pseudoartystycznych udziwnień, bez silenia się na wpisanie w modę literacką, nawet zbyt świadomie ograniczane w metaforyce.

W pierwszej swej książce pisał o kłopotach z miłością, tą z lat młodzieńczych, ale także z dojrzałą, bo autor przyznaje się, że ciągle jest „łasy na grzech, co ubrany w rozkosz”. Było też w tej debiutanckiej książce trochę reminiscencji wywiedzionych ze sztuki, choć znając profesję autora, nadszpiekanie mało.

Drugiemu tomikowi, datowanemu na 2002 rok, autor nadał tytuł „Perony lez”, akcentując tym samym smutne strony życia, choć nie wyłącznie o nich była mowa w wierszach. *Kolejny pociąg/ odjechał w pośpiechu/ perony też/ znów przeladowane/ zła kresu nie widać/ wciąż z tunelu/ bez końca wypełza.*

A przecież nie pesymizm jest tu tonem dominującym. Najważniejsze wiersze traktują o wiecznym poszukiwaniu sensu życia: *Czy to*

możliwe/ że świat istnieje/ 13 miliardów lat/ po co więc ja/ sześćdziesięcioletni/ w miliardowym tłumie/ po co i na co? Jak żyć, gdy w mózgu wciąż za i przeciw, gdy zło z dobrem kroczy w parze, gdy niebo od piekła oddziela ledwie jeden gest, gdy tak trudno porozumieć się z drugim człowiekiem?

Powodów do pesymizmu może być wiele i dlatego autor broni swojego „czarnego pisanie”, a przecież jakby na przekór samemu sobie znajduje tyle urody w przyrodzie, tyle zachwyty dla sztuki, tyle mądrej refleksji w przemysleniach o świecie, a w wierszu „Deklinacja” nawet sens życia w działaniu dla innych: *ja/ mnie/ mną.../ zapomniałeś/ że jest/ on/ ona/ ono.*

Podobnie jak w pierwszym tomie znalazło się także kilka wierszy niezwykłych w poetyc-

rzeźb kilka obrazów/ nieco też zachwyty/ zmówionych pacierzy/ chyba to za mało/ aby wejść do nieba. A nawet żartobliwie: cadilakiem czy piechotą? Jakież parking musiałby przygotować święty Piotr, by zmieścić wszystkie pojazdy! To nowy ton wierszy: gorzki uśmiech. Jak w wierszu „Pieśń optymistyczna” o rywalizacji nuworzyszy, i w gorzkim a zabawnym „Wernisażu”...

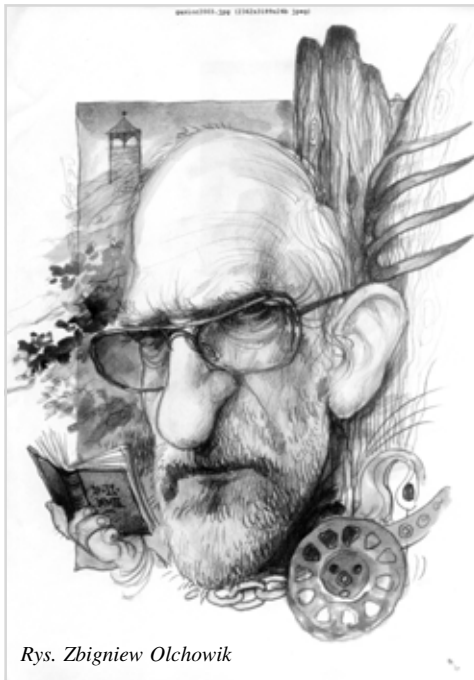
Do tomu trzeciego pt. „Dlaczego” weszły teksty pochodzące głównie z ostatnich lat. Gąsiorowi - plastykowi do zrobienia rzeźb w formie asamblaży służą przedmioty codziennego użytku lub tylko ich fragmenty, najczęściej zniszczone, wyrzucane na śmietnik. Potrafi tak je złożyć, że oglądający odkrywa w nich nowe wartości, odnajduje nowy sens ich istnienia w sferze transcendentnych skojarzeń i poetyckich metafor

Gąsior - poeta do swoich wierszy także włącza codzienność. Jego wiersze często zaczynają się od informacji, np. „Zmarł sąsiad z naprzeciwka”, „Czytałem „CZAS KOBIET”, „WTV film o Stalingradzie”, „Wczoraj zawiozłem dwie starsze kobiety”, „W teatrze na Dubrowce”, „Świta kolejny dzień”. „W dzisiejszej gazecie”. Są dla niego punktem wyjścia do przedstawienia toku myśli lub konstatacji na poły filozoficznych. Wspomnienie zmarłego sąsiada rodzi zastanowienie, kto następny z grona bliskich przekroczy próg życia i śmierci. Lektura „Czasu Kobiet” uzmysławia, że konieczność przesiedlenia dla Niemców była tragedią, ale dla małego Polaka – szansą na bezpieczne życie. Oglądany w telewizji film o Stalingradzie rodzi zadziwienie, że *to wydarzyło się naprawdę/ w XX wieku za sprawą człowieka*. Kolejny świtający dzień budzi nadzieję, że *może stanie się cud/ i nikt nikogo/ dziś nie zamorduje.*

Wiersze Gąsiora mają formę notatnika, w którym każda rzecz, każde zdarzenie może być tematem refleksji. A refleksje plasują się wokół zadziwienia, że na świecie zło zwycięża dobro, że *tylko bólu, zła i podłości* a także pytanie bez odpowiedzi: *co Ty, Boże na to?*

Takie same refleksje są udziałem wielu osób oglądających telewizję lub przez moment zastanawiających się nad codziennością świata. Nie ma tu odkrywczości. Ten nurt doraźnej refleksji obecny był także w poprzednich tomach Gąsiora, ale nie aż tak silny jak w najnowszym, i częściej wyrażony poetyckimi środkami wyrazu. Moim zdaniem, dojrzałszy o cały rok, Gąsior wybrał trop mylny, bo nie prowadzący do poetyckiego wyrażenia świata, a co najwyżej do konstatacji bliższych publicystyce.

Znacznie bardziej niż analiza współczesności podobają mi się wiersze zrodzone z obserwacji rzeczy np. butów, drabiny, okien, chleba itd. Każdemu z tych przedmiotów Gąsior poświęcił oddzielny wiersz, zawsze wychwytyjąc oryginalne, dalekie skojarzenia. Jak w wier-



Rys. Zbigniew Olchowik

kiej urodzie inspirowanych pejzażami z Santoka. Tu, tylko jako sygnał, wierszyk-miniaturowa: *Książyc/ tak równo nadgryziony/ wciąż złotem się śmieje.*

W tej książce poeta więcej miejsca niż w pierwszej poświęcił sztuce. Są wiersze – hołdy dla rzeźb Gustawa Zemły, Stanisława Kulona, Władysława Hasióra, jest zachwyty dla stwórcy kamienia - najdoskonalszego dzieła rzeźbiarskiego. I refleksja: jeśli Bóg mógł stworzyć cud cudów, czyli kamień, dlaczego nie stworzył lepszego świata? Dlaczego nie ulepił człowieka z *nieskażonej gliny*? Dlaczego tak wiele pozostawił na ziemi spraw, o których decydują zli ludzie? Bóg często pojawia się w wierszach Gąsiora. Czasami autor prosi go o banalną codzienność, *żeby syn zdał maturę/ by opuściła mnie grypa/ żeby samochód zapalił*. Czasami podziwia Boga jako mędrca, który nawet w niebie nie ma z kim porozmawiać. Najczęściej zastanawia się nad drogą, którą człowiek dochodzi do Boga: *Trochę wiary /*

szu „Buty”: *Los butów podobny/ i taki okrutny/ pojemnik lub piec/ kończy zdeptany ich żywot (...)* *niewdzięczny jest/ człowiek butobójca.* W tych wierszach nasz świat codzienny, przedmioty nas otaczające nabierają poetyckiego kształtu, oddziałują siłą poetyckiego zwielokrotnienia.

Można by jeszcze wskazać szereg oryginalnych metafor, jak ten grzech, co *zmarłych wstaje* zaraz po świętach Wielkanocy („Święta za rogiem”), jak wspomnienia, co *dymiące jak stawy pozostawione na kuchennej płycie* („Czytam „CZAS KOBIEC”). Znów mamy kilka ładnych wierszy poświęconych urodzie świata, sztuce, religii. Podobnie jak w poprzednich tomikach i w tym trudno się doszukać klucza jego kompozycji. Jak w notatniku, mieszają się rozmaite doznania i wrażenia. Ta pasja – można by rzec – notowania, powoduje, że wiele z teksów pomieszczonych w tomiku pozostaje w stanie szkicu. Dobry wiersz jak wino, które ma być dobre, powinien w Gąsiorze dojrzewać. Ale on, *homo faber* i *politicus*, chce o swoich odkryciach jak najszybciej nam zakomunikować. Stąd zamiast skończonych wierszy często podaje nam komunikaty.

Rozmaitość obserwacji, wrażeń, refleksji powoduje, że trzeci tom wierszy Gąsiora najlepiej wyraża jego zagubienie w świecie. Bezsilność człowieka na dziejące się wokół zdarzenia, na postępowanie innych ludzi, na całe to zło nas otaczające. *Już nie próbuję/ świata naprawiać/ wypalił się we mnie zapal/ moja wiedza i wola/ na nic się zdały* – stwierdza z goryczą. Dla ratowania dobra niczego nie mogą zrobić nawet ludzie z autorytetem jak Matka Teresa, Ghandi, Papież, więc co może dla świata uczynić zwykły człowiek? *Że zło z dobrem wygrywał/ tylko między bajki włożyć.*

Lektura wierszy Jerzego Gąsiora niesie co najmniej dwójaką przyjemność: obcowania z mądrym i wrażliwym człowiekiem oraz radość z wierszy prostych a przecież o dużej sile poetyckiego obrazowania. To jednocześnie miód dla serca i intelektualna przygoda. Przy drugiej lekturze jego książek nawet wybaczyłam autorowi brak wewnętrznej kompozycji temu, wymieszanie wątków, bo taki układ daje możliwość swobodnego przechodzenia z tematu na temat i odkrywania kolejnych blasków. *U schyłku życia/ wciąż życia się uczyć/ tak mało wiem o nim/ tak mnie zadziwia/ tak mnie przeraża/ i tyle stawia znaków zapytania* – konstatuje Jerzy Gąsiorek, a w tym pozornym zagubieniu jest jego wielka mądrość i pełnia człowieczeństwa.

I nie ma odpowiedzi na tytułowe pytanie: „Dlaczego”.

Obawiam się, że czwarty tom notatek Gąsiora będzie jedną wielką rozpaczą. Chyba że autor swoje wierszowane szkice położy na warsztacie poetyckim i odnajdzie dystans do doraźnych obserwacji. Czas jest najlepszym panaceum na rany duszy, czarne myśli, a także bardzo dobrze robi wierszom.

Krystyna Kamińska

* * *

Tylko nad wodą
drzewa rosną w dwie strony
ku niebu i ku głębi
prawdziwie tylko ku górze
i ja rosnę w dwie strony
ku Tobie boś rośną i słońcem
i w siebie by się wciąż bogacić

* * *

Lubię że jesteś
taka zwyczajna
a uroczyta
grzeszna i święta
lubię twe włosy
piersi i stopy
lubię jak śpisz
śpiewasz gotujesz
nawet jak chodzisz
własnymi ścieżkami
lubię ...
że mnie trochę lubisz
i wciąż intrygujesz

* * *

Wiersz można utkać
z wszystkiego
z leszczyny sitowia
rumianku przy płocie
kosa z złotym dziobem
z chmur deszczu i burzy
gwiazd słońca i tęczy
można z końskiej grzywy
ułańców przy studni
można z okopów
mieczy i szrapneli
lazaretów łagrów i koszar
z kapliczki przydrożnej
można z barłogu kloszarda
można z tęsknoty rozpaczy
dobra i zachwytu
można
ale czy będzie poezją?

* * *

Któż mi na Boga
karty potasował
że znów przegrywam
z czasem co oszalał
z miłością co
ze mnie zakpiła
z wiarą w człowieka
ten nadal zawodzi

* * *

Otwieram skrzynkę
na klatce schodowej
zawsze z nadzieją
że nadejdzie list
ze szczęściem w adresie

można z dobrą wieścią
o wielkiej wygranej
w życiowej loterii
albo z folderem - reklamą
jak zło oszukać
i gdzie szczęście kupić

* * *

Pod sufitem jemiola
świeża złocistozielona
wdrapałem się na drzewo
w sadzie nad jeziorem
kiedy ją zrywałem
już się radowałem
że będę mógł całować
bez grzechu do woli.

Pompeje

Danym mi jest
chodzić ulicami
które
pod popiołem
przetrawało prawie
dwa tysiące lat
to było miasto
prawdziwe i żywe
z świątynią teatrem
termami domami
oto vestibul tu witano gości
atrium z implivium
cubicula triclinia ...
jakkże wyraźnie
zarysowany układ pokoi
kto je budował
kto biegał po nich
kto chodził z powagą
a może złożony chorobą
był przykuty do łoża
jak nazywał się patron
a jego małżonka
czy była ładna
i czy mąż ją kochał
a dzieci... a niewolnicy
czy z Grecji biegli w sztuce
mówienia pisania
czy na forum w podcieniach
obok plotkowania
rozstrzygano kwestie
ze stoickim spokojem
a uliczki z wyraźnymi
koleinami w kamieniu
ile kwadryg kół kopyt
stóp bosych i obutych
i jak długo musiały je złobić
...
patrzę z zachwytem
i tak trudno mi uwierzyć
że to miasto żyło

BABEL, czyli pomieszanie języków

(aneks do apokryftu drugiego, zwanego „Rękopisem znalezionym na górze Ararat”)

Na życzenie ważnego niezmiernie praprzodka Noego, a zwłaszcza swoich ojców, dziadków, pradziadków, prapradziadków, praszczurów, i tak dalej, poomkowie Jafeta, Sema (może z jakimś wyłączeniem Chama) zdecydowali wreszcie, iż dziewięćdziesięciudzięciu bramnym mieście Babilon, zwanym wówczas Bablem wybudują wieżę setną, przewyższającą wszystkie istniejące dotąd na świecie dzieła rąk ludzkich. Nie tylko chyba dlatego, że będzie to spełnienie woli praocjów, ale by zobaczyć też, co Pan robi na wysokościach. Jeśli bowiem mogli przybiegać z radami i ostrzeżeniami do budowniczego arki, to czemu nie mógłby im poradzić, w jaki sposób mają budować dla niego schody, po których nie musiałby już tak biegać, jak do Noego?

Jak zdecydowali większością głosów, tak zaczęli działać.

Zapraszali więc nasamprzód rozproszonych po rozmaitych krainach a to kamieniarzy, a to murarzy, a to architektów, malarzy, kominiarzy, mozaikarzy, pomnikarzy, karawaniarzy, harcowników, trefnisiów, gadaczy i śpiewaków (chwalcy, pisarze i niegroźni trefnisi sami się znajdują wyciągając rękę po datek). Niewolników do pracy już sobie znaleźli.

Wysłali gońców do różnych ludów: Katakajów, Achajów, Amorytów, Amalekitów, Hirczyńczyków, Swierczyńczyków, Scytów i Akolitów... (Tu rękopis jest urwany).

Potem były obietnice: „Będziecie mieszkać w mieście, w którym nie brakuje niczego a za bardzo nam wiadome fachowe zdolności, dostaniecie możliwość wstępu do wszystkich, mało dostępnych, przybytków, możliwość kąpieli nie tylko w rzadko dostępnej rzece Eufracie, ale także w chłodnej wodzie w ogrodzie Semiramidy, gdzie będą was myły wybrane przez was nimfy.

Będziecie mieli od groma złota, klejnotów i innych przez was wymaganych dóbr”.

Nie upłynął jeden miesiąc, kiedy w Babilonie pojawiły się setki i tysiące specjalistów od wszystkiego zwłaszcza z krajów w których był kiedyś, a mając tysiące niewolników, czarnych i białych, tylko niektórzy dozorowali, jak należy szlifować kamień, jak układać ścianę nad fundamentem, jak malować głowy albo i co innego, mając hojnych sponsorów. Trefnisi pokazali kuglarskie sztuki, panie z Koryntu w Gracji swoje walory albo grały na katarze. Insi, nie mający wiele przyjemności z pracy, pławili nogi w żółtych wodach Eufratu, w zimnych basenach Semiramidy lub degustowali wino, wypróbowane już przez praojca Noego. A wszyscy doskonale mogli się porozumieć, bo posługiwali się tylko jednym językiem.

Czasem powstawały między uczonymi spory. Jeden powiedział:

– Ja jestem najbardziej tolerancyjnym człowiekiem, ale ty to jesteś wielki zdziobas, bo nie uznajesz za słuszne, tego co ja mówię.

– Takiej głupoty jeszcze nie słyszałem, bo jak możesz mieć rację mówiąc takie pierdoły?

– O czym wy mówicie - pyta trzeci. – Może ja bym mógł coś podpowiedzieć?

– Odchromol się – jednogłośnie mówią poprzednicy. – Ty jesteś mniejszościowiec.

– Cholera! O co chodzi? - powiada czwarty. – Może trzeba poprosić eksperta od tych spraw?

– Ty jesteś potomkiem Chama - nie masz nic do powiedzenia – odpowiada któryś.

– A czy mogę szanownych panów o coś zapytać?

– Niech pyta.

– Co my budujemy?

– Co za głupol. Wieżę do nieba.

– A po co?

– A żeby nic dla człowieka nie było niemożliwe.

Usłyszawszy to Pan powiedział: „Przeto zstąpmy tam i pomieszajmy im język, aby nikt nie rozumiał języka drugiego! I rozproszył ich Pan stamtąd po całej ziemi, i przestali budować miasto.”*

* *Biblia. Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne. Pierwsza księga Mojżeszowa, 7, 8 Apokryf nie wiadomo który - zastłyszany (Z przełomu Starego i Nowego Testamentu)*

CUDA

Onego czasu szli przez pustynię Negev - Pan, Piotr i Jan. Upał był niemożliwy, pięćdziesiąt sześć stopni Celsjusza, Farenheita to w ogóle nie można było się doliczyć, a znużeni byli już tak, że nawet ich galabije zlażyły im z pleców i na horyzoncie pokazywały się jeziora z palmami daktylowymi na obrzeżach i karawany wiozące wszelkie dobra.

Samo życie pustynne. Mamidło.

Pustynne suchorośla były suche a wadi (czyli byłe rzeki) jeszcze suchsze.

Po przejściu paru stadiów okazało się, że drzewo figowe nie jest wcale fatamorganą. Drzewo prawdziwe, ale niestety, bez fig. Pień tylko dawał trochę cienia

I rzekł Jan;

– Może byśmy tak tu trochę odpoczęli?

– Chyba nam się to przyda – powiedział Pan. I usiedli pod wyschniętą figą, aby nieco odsapnąć. Zrobiło się trochę sympatyczniej, ale do spadku temperatury było dosyć daleko. Nudno.

I rzekł Piotr: – A może tak zagrabilibyśmy w kości?

A na to Jan: – Czyż godzi nam się, ludziom świętym, w kości grać?

A na to Pan: – Godzi się, godzi, albowiem gra w kości była zawsze rozkoszą bogów!

Wzięli kości i zaczęli grać.

Pierwszy kubek z kośćmi wziął Piotr, zakręcił kubek trzy razy i wysypał kości.

I było siedemnaście punktów, co było o jeden punkt mniej niż najwyższa ilość możliwych.

Po nim kubek wziął Jan, zakręcił trzy razy i wysypał kości.

I było osiemnaście punktów, co było najwyższą ilością z możliwych. Ostatni kubek wziął Pan. Podniósł oczy do góry, zaszeptał coś z cicha, zakręcił trzy razy i wysypał kości.

Było punktów dziewiętnaście, co było o jeden punkt więcej niż najwyższa ilość możliwych.

I rzekł Piotr: – Bez cudów Panie, bez cudów! Na pieniądze gramy.

PRZYPISY. Większość tekstów ujętych w cudzysłów pochodzi z wydania: „Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu” - Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1975.

Maria Przybylak

* * *

lipy
w lipcu
nektarem bogate
pszczele robotnice
na ucztę
zapraszają
- niczym ule brzęczą
miodne drzewa
w lipcu
- i nawet w styczni
gdy ziąb
niedomogą zagraża
miodnolipowa
herbatka
chorobę odpędza
w styczni
lipiec przypomina
9-VI-2003



* * *

Zadeczę te rozgrzebane bruki .
na śmierć
czekając myśli cudu

wypiję jeszcze tysiąc kaw
i zagram w totolotka
z tą samą nadzieją
a noce oszczędzą mi koszmarów
zsyłając bezsenność

Moje spokojne kroki i ciche słowa
to biała flaga gotowa do wywieszenia
wobec konieczności uznania faktów

Póki co oblężona twierdza
trzyma się mocno
a jej dzielna załoga żyje

Barbara Trawińska

Wielki Pasterz

Janowi Pawłowi II – na 83 urodziny

Nazywasz się Pielgrzym
ziemia pod Twoimi stopami nosi imię
– kontynenty
i malowana jest kolorem skóry
nie obca Tobie egzystencja plemion
ich smak ńędzy, ucisk i trud
dojrzywałeś do czynów
z niejednego pieca smakowałeś chleb
którym zawsze dzieliłeś się z głodnymi
umiłowanie przelałeś na wędrówki
jeziora, rzeki i ścieżki gór
nie mają przed Tobą tajemnic
wszędzie szukałeś Boga i On Cię wybrał
uczynił Pasterzem na ziemi, w kruche
ciało wtopił swego Ducha, głos Twój
dociera daleko poza
dąży cierpliwie i nieustannie
wzywasz władców
losy narodów Twoją troską
nie ma dla Ciebie barier
dialog czynisz pomostem i Światło
niesiesz pieśni wiatrem
wszystkie oczy zwrócone na Ciebie
w czasach niepewnych Tyś autorytetem
dla tych co wierzą
i nie potrafią wierzyć

Marek Grewling

PRZEPROWADZKA

Gdy słońce spłynęło
na zaśnieżone miasto

gdy tak trudno znaleźć
spokojne miejsce

gdy przychodzi pomieszkować
w domach które bołą

czekam

aż ktoś powie
chodź zapoznaj się
z moim kotem i psem

(marzyłem
będę stać cichutko
jakby nie było
mojej osoby)

Agnieszka Moskaluk

* * *

Droga ciśnie się pod stopy
Nic przede mną
Za mną

Co mi powiesz o locie
kiedy skrzydła zabrały anioły
jeszcze pióro drży we włosach
jak tęsknota
odwracam się od przepaści
odchodzę bo mnie woła



Teresa Wilczyk-Surmacz

Poczekalnia

Nagle
rozsunęły się drzwi

Weszły
przydrożne dziady

Gęsiego

Obowiązkowo każdy jeden
z brodą
Zasiadły majestatycznie
na ławkach
zajęły całą Poczekalnię
Milcząco
powyciągały
z plastikowych toreb
rękawice bez palców
czapki z uszami
Zasnęły jeden po drugim
z nastroszonymi piórami
z przymkniętym jednym
okiem
z otwartymi szeroko
dziobami

Wciąż nowa prywatność

Eugeniusz Kurzawa – szef lubuskiego oddziału Związku Literatów Polskich opublikował nowy tom wierszy. Dał mu tytuł „Wciąż nowa prywatność”, czym niemal bezpośrednio wskazał metrykę swoją i pokolenia poetów tzw. „nowej prywatności”, zawiedzionych w marzeniach, odcinających się od wszelkich związków ze światem, narodem, regionem, małą ojczyzną...

Ale jakby na przekór tytułowi tom otwiera wiersz o podmiocie w liczbie mnogiej podniesionej do kwadratu: „Moje roczniki”. Dawno, dawno temu, w latach 70-tych, oni – młodzi poeci czuli się zjednoczeni w poszukiwaniu sensu życia, wszyscy chcieli *zmienić świat/ lub chociażby otoczenie i siebie/ i koniecznie wejść do literatury*. Ale nadszedł rok 1981, który wymagał dokonywania wyborów politycznych, do których oni zupełnie nie byli przygotowani. Nie ma już więc pojęcia „my”. W drugim wierszu tomu jest samotny „Poeta”, który musi *sprzedać/ siebie/ w fundacjach/ komitetach nawet/ w redakcjach i w telewizji*.

Cały tom wierszy Eugeniusza Kurzawy jest jednym wielkim znakiem zapytania o miejsce poety we współczesności.

Część druga zbioru jest apoteozą domu: najpierw swojego, z małą córeczką i żoną oraz rodzinnego, dalekiego, a przecież bliskiego uczuciami ojca i matki.

Część trzecia to refleksja nad historią, nad relatywnością pojęcia zwycięstwa, nad znaczeniem przywódcy, by dojść do konstatacji: *musisz więc/ spokojnie i z godnością/ przyjąć odpowiedzialną rolę igły/ w stogu naszej wsi/ globalnej*.

Z tą świadomością autor wkracza do części czwartej, najważniejszej z punktu widzenia logiki wywodu, ale – moim zdaniem – najmniej ciekawej we wnioskach. Bo czyż pisarskim credo może być stwierdzenie: *zapisać siebie/ przed obróceniem się/ w niwecz?* Do tej części włączył Kurzawa wiersze o znikomości ludzkich spraw a wieczności rzeczy, o daremności zmagania człowieka z przyrodą, o powierzchowności obrazów i doznań.

Zakończył cały tom króciutkim wierszem, który składa się na szóstą część:

*dobrze jest mieć
czym się martwić
tylko martwi się
nie martwią*

Ileż w tym wierszu optymizmu, ileż radości życia i jaka wspaniała zabawa słowem! Wszystkie uczone dywagacje z aż pięciu części nikną wobec tej malej perełki. Ten ostatni wiersz jest dowodem, że poszukujący sensu dojrzały poeta odnalazł wartość najważniejszą: życie.

Krystyna Kamińska

Moje roczniki

chcieliśmy być uczciwi
wobec życia prywatni i poetyccy
pisać wiersze i zmieniać świat
lub chociaż otoczenie i siebie
i koniecznie wejść do literatury
jeździliśmy do chorzowa poznania
torunia warszawy lub wrocławia
żeby roztrząsać zadane sobie w świetle dnia
przenicowane w nocy tematy drukowane potem
w itd studencie integracjach nowym medyku
zebrały się tysiące stron
tysiące wierszy ciągle przewrażliwionych facetów
i paru brzydkich dziewczyn
aż nagle

pechowa trzynastka przebiegła nam drogę
- protestować czy publikować pytałem grzegorza
dzisiaj profesora - jeśli zaprotestuję i nie wydrukuję
to nigdzie
nie będzie mnie nas
- jeśli wydrukuję to
i tak przypadną
mówiłem łatwo przewidując rozwiązanie
problemu generacji tkwiącej w dybach
naiwnej moralności

i tak już zostało
moje naiwne pokolenie
krótko gościło na scenie
jak sztuka w czasie prób
jak niedokończony obraz na sztalugach
właściwie nie miało swego entrez odpłynęło
do odnośników i spisów bez treści
wstydliwie nie przyznając się dzisiaj
do istnienia
przed samym sobą
moje (prywatne) pokolenie
zmyte przez wtórną nową falę

Poeta

musi być
po właściwej stronie
słowa żeby istnieć
nie wystarczy stać
po stronie słabszych
on sam słaby
nie wystarczy
mieć rację
trzeba ją udowodnić
i sprzedać
siebie
w fundacjach komitetach nawet
w redakcjach i w telewizji
być przeciw lub za
żeby per saldo się opłacało
być poetą
czyli pisać wiersze które mają
sens wówczas
coś załatwiają
prestż nagrodę lub choćby
tylko mają
sens



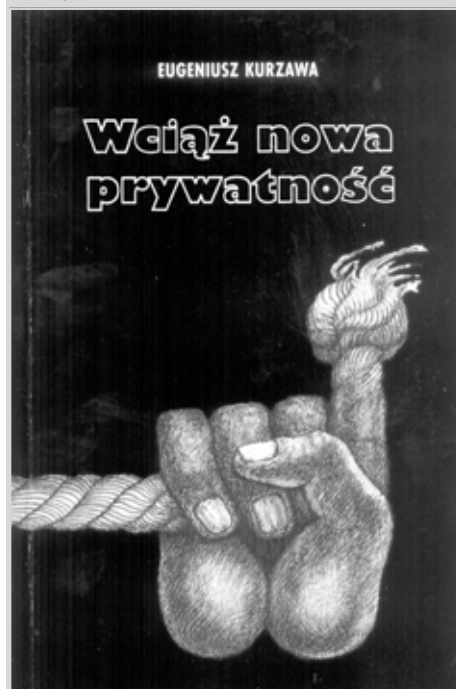
Eugeniusz Kurzawa

Poeta, prozaik

Urodził się 3 stycznia 1954 r. w Kościanie w Wielkopolsce. Ukończył pedagogikę kulturalno-oświatową w WSP w Zielonej Górze. Był dziennikarzem i redaktorem m.in. czasopism i gazet Podlasia, redagował Komunikaty Nadodrzańskie, obecnie jest dziennikarzem w Gazecie Lubuskiej. Debiutował wierszem w Nadodrze w 1976 r. Otrzymał Nagrodę Wojewody Suwalskiego (1984), Nagrodę Młodych im. Stanisława Wyspiańskiego (1987), Nagrodę Kulturalną Prezydenta Zielonej Góry (1995) i Zielonogórskiego Czarta Kulturalnego (1999).

Jego wiersze tłumaczono na język litewski. Członek ZLP od 1987 r.

Mieszka w Wilkanowie koło Zielonej Góry.





Bronisław Słomka

Prozaik

Urodził się 1. IX. 1932 r. w Nowym Targu. W 1959 r. debiutował opowiadaniem pt. „Zakochani z ulicy Kamiennej” na łamach „Gazety Spółdzielczej”. Jego utwory tłumaczono na niemiecki, rosyjski i łotewski. Otrzymał Nagrodę Kulturalną Wojewody Gorzowskiego (1994). Członek ZLP od 1969 r. Przez 9 lat był prezesem Stowarzyszenia Literackiego „PROM” i redaktorem naczelnym polsko-niemieckiego pisma literackiego „Prom/ Die Fähre”. Mieszka w Barlinku.

Pracował jako dziennikarz w „Głosie Szczecińskim”, „Ziemi Gorzowskiej” (jako sekretarz a potem redaktor naczelny), a najdłużej w redakcji „Gazety Lubuskiej”.

Wydał książki: „Karuzela” – powieść (Poznań 1969), „Trzy kroki do nieba” – powieść (Poznań 1973), „Guliwer” – powieść (Poznań 1975), „Cygan na ślepych koniu” – opowiadania (Poznań 1976), „Mrówka” – powieść (Szczecin 1980), „Talizman” – powieść (Szczecin 1987), „Woźnica z ptakiem na ramieniu” – proza poetycka (Gorzów 1995).

Sluchowiska: „Złoty zegar” (Szczecin 1963), „Ten, który przyszedł” (Szczecin 1964), „Tylko na, panie kapitanie” (Szczecin 1965), „Babcia” (Zielona Góra 1979), film telewizyjny na podstawie opowiadania „Ten, który przyszedł” (1983) z udziałem Franciszka Trzeciaka i Zygmunta Malanowskiego.

Credo:

Pisząc książki chcę sprawić czytelnikowi, który po nie sięgnie, być może trochę radości, być może trochę przyjemności, dać – być może – trochę powodu do refleksji nad samym sobą. Sprowokować do myślenia, choćby tylko przez chwilę, do zastanowienia się nad tym, jak rozumnie, mądrze, dobrze, nie robiąc krzywdy drugiemu człowiekowi, nie padając ani na pysk ze zniechęcenia, ani na kolana ze strachu, umieć znaleźć się w tym pięknym, ale jednocześnie coraz trudniejszym, współczesnym świecie.

Bolo Szajbus

(fragment powieści o tym samym tytule)

Położył odbezpieczony pistolet na parapecie, gazy wypuścił z nerwów, aż głową mu polepało i jak zwykle w chwilach niepewności próbował przypomnieć sobie dzień własnych urodzin. To mu zawsze dobrze robiło. Tej nocy znów przyśni mu się matula, Zuzanna Chorowita.

Doktor Szmata nacisnął kapelusz na kwadratową głowę, wytarł ręce o spodnie, zaplątał płaszcz i powiedział nic z tego nie będzie, karta zejścia nieszczęsnej tej kobieciny i niewydarzonego tego jej bachora, Szajbusa, wypisana kaligraficznie idealnie. Trzeba dzwonić na prosekorium albo do kostnicy, Szajbus nie daje znaku życia i szkoda fatygi. Tu i cesarskie nie pomoże, ni ma co kobity mordować po śmierci i męczyć małego, skoro i tak nie żyje ani jedno, ani drugie. Nic w stetoskopie nie drgnie nawet, już nie słycać denatów. Aaaameeen!

Baby zabrały się do modlitwy, co jedna to głośniejsz, zgodnie z planem, tak przekrzykiwały się, by łask dostąpić. Zapaliły gromnice i dalejże, ucha chucha, zawodzić od morowego powietrza, ognia i wody zmiłuj się nad nami, Panie Miłosierny, daj mu wieczne odpoczywanie i w ten deseń dość długo śpiewać i recytować chciały tak, z niecierpliwością mieszając ze sobą w jednej słowa wyrwane z paru modlitw lub pieśni patriotycznych, żeby odpust dostać kompletny.

Ale wtedy nastąpił cud gwałtowny i niespodziewany, obuchem po głowach je prasań. Głos głuchy dał się słyszeć z otchłani zaświatów, ni to zza okna, ni zza ściany, może ze strychu, Bóg jedyny raczy wiedzieć, nic pewnego, wyciągnijcie mnie stąd prędko, zanim się udużę na dobre, złamasy kutafione.

To było zrządzenie losu. Doktor Szmata splunął na podłogę brązową flegmą z resztkami płuc zmieszanych ze smołą po papierosach extra mocnych bez filtra, peta przesunął językiem z prawego do lewego kąta warg grubych, suchych i spieczonych jak dwie wyciągnięte z grilla spalone kiełbasy, tam i z powrotem przesunął peta ze trzy razy, zrzucił kapelusz, Bolo Szajbusa resztkami sił wyciągnął na wierzch i wziął za nogi, głową w dół.

Trzasnął dłonią na płask, zakrwawioną i jak łopata wielką, w tę małą jego, bądź co bądź, w dupinę jego chlasnął, nienawykłą jeszcze nawet do byle jakiego pierdnięcia, cham nawalony. Cud tylko sprawił, że nie przewrócił się z dziecięcym tym, nie zrobił mu krzywdy. W historycznej chwili tej ledwo dźwigał to szambo swoje przepastne na krzywych i pijanych nogach mniej więcej pół metra od podłogi, na której wykładzina przepalona była od maszyny elektrycznej do gotowania grochówki na wędzonce. Poprawił zwieszonemu głową w dół jeszcze, jakby jednego walnięcia mało mu było, zwyrodnialec i chłaśnięcie to było słycać w całej podmiejskiej osadzie Przyglupy,

trzy kilometry od fabryki mebli giętych i SAMU Truskawka w szczerym polu, pomiędzy zagonami kapusty.

Od tego Bolo Szajbus gwałtownie się ocknął ze śmierci zgodnej z najnowszymi osiągnięciami medycyny i fachowymi opisami w podręcznikach profesorów uniwersyteckich oraz praktyków klinistów, którzy na tym zęby zjedli, i wrzasnął na całe gardło jak furman z Drohobycza na kacu ty chuju złamany! Byki szlachtować, a nie młode pokolenie na świat ten wredny z łona matki rodzonej wybierać! Na co doktor Szmata w konfuzję wpadł, powiedział srać mi się chce i wybiegł do baru, gdzie jest klozet przestronny i żeby strzelić sobie lufę na ocknięcie, bo i on załamał się od tego wybryku natury.

I tak mu, Bolo Szajbusowi, zostało, że szpetnie ożył. Czym wprowadził w osłupienie baby i resztę społeczeństwa w całych Przyglupach, bo dawno nikt w tak niezwykły sposób nie przyszedł na padół, niewątpliwie nieżywy, nie ożył zmienacka i wbrew naturze oraz przepisom medycyny. Musiały przetrwać pobożne śpiewanie w momencie akurat wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, a światłość wiekuista niech im świeci na wieki wieków amen, za co jest odpust zupełny, zawiedzione. I matkę Zuzannę Chorowitą, która też za swoim Bolo Szajbusem na tamten świat wybierała się dobrowolnie namaszczone w przytomności księdza Szwarzkopfa Józefa i gromnicy, postawił on w te pędy na nogi. Krzyknęła Bolo! Dziecino cudem uratowana od zagłady, a żeby cię ślag trafił za takie dowcipy, zara nagotujem grochówki na wędzonce!

Wstała prędko i nagotowała mu na maszynce grochówki na wędzonce, Bolo Szajbusowi swojemu, nędznej darowiźnie przypadkowego zrządzenia losu i oficjalnie nieznanego ojca, panie Boże, daj mu jak najdłuższe męczarnie. Przy czym zawsze miała tu na myśli doktora Szmata, niech go pokręci.

* * *

Nad ranem Bolo Szajbus usłyszał huk wystrzału. Zmęczony był gadaniem nocnym i nie obchodziło go już, kto, gdzie, do kogo strzela, a niech strzela. Kiedy jednak spróbował otworzyć oczy, które przymknął na chwilę, bo szczypało go w nich od niewyspania, zobaczył nad sobą wielką gębę matuli swej, Zuzanny Chorowitej i kaprawe jedno jej przymknięte oko, a drugie otwarte na oścież, celujące do niego z pistoletu jeszcze raz. Matuś, za co, kurde? - chciał powiedzieć, ale nie zdążył. Nawet go nie zabolalo, kiedy strzeliła jeszcze raz i kiedy w nosie zakręciło mu zapachem macierzanki.

Nina we wstecznym lusterku

*Przecież każdy kiedyś tam
Na zawał serca
Czy na cywilizację
z tomu „Drzwi otwarte”*

Nie zauważyłam nekrologu w „Gazecie Lubuskiej”, w którym rodzina powiadamiała o śmierci Janiny Żemojcin. Ci, którzy zauważyli, pewnie nie skojarzyli, że to informacja o śmierci Niny Pawłowskiej.

W Gorzowie była znana pod panieńskim nazwiskiem i ze skróconym imieniem. Nie lubiła ani pełnej „Janiny”, ani zmienionego nazwiska. Zналиśmy ją jako Ninę Pawłowską, autorkę tomików poetyckich, osobę oddaną działalności w Stowarzyszeniu Promocji Kultury, dawniej często odwiedzającą klub „Lamus”. Ostatnio jakoś przestała tam bywać, ale przecież każdy ma dużo zajęć i obowiązków. Dopiero ta wiadomość, że zmarła 4 czerwca...

W sierpniu 1977 r. debiutowała wierszem „Syzyf” na łamach „Nadodrza”, wówczas piśma ogromnie nobilitującego. Prawie równolegle jej wiersze ukazały się na łamach ogólnopolskiej „Literatury” i jako dobrze zapowiadającą się młodą poetkę Związek Literatów oddelegował ją rok później na Warszawską Jesień Poetycką. Wtedy *Jarosław Iwaszkiewicz stwierdził lakonicznie, że teksty są dobre, a mnie nastroiło to tak optymistycznie, że piszę dalej* – wspominała w wywiadzie w „Kurierze Gorzowskim” w 1997 r. Dobra passa trwała. W 1979 r. w Bibliotece Literackiej Gorzowskiego Towarzystwa Kultury ukazał się jej debiutancki tomik pt. *Drzwi otwarte*, a wówczas wydanie książki nie było łatwe. Recenzje otrzymała pochwalne, a sam Zdzisław Morawski napisał: *W moich wróżbach widzę dla niej dobre karty*.

Drugi tom wydała w 1985 r., również w Bibliotece Literackiej GTK, a trzeci – już samodzielnie - w 1994 roku. Nadała im bezpretensjonalne, ale wyraziste tytuły: „Ja po raz drugi” i „Ja po raz trzeci”. Bo też ona sama, autorka była najważniejszym podmiotem lirycznym. Jej utwory wyrastały z różnych inspiracji emocjonalnych, ale zawsze były próbą opisu egzystencjalnego. Po trzecim tomie Ireneusz K. Szmidt napisał: *Wiersze pani Niny są ludzkie. Sprowadzają widzenie świata do spraw najprostszych, do konieczności rezygnacji z lotów, z marzeń w imię zgody na egzystencję ziemską*.

Czas byłby najwyższy na kolejną książkę Niny Pawłowskiej. Sama już jej nie przygotowuje do druku. Od pewnego czasu mówiła, że woli pisać prozę, dawała próbki do poczytania, ale nie zdecydowała się na pokazanie całości (czy w ogóle jest?). Wzięłam więc do ręki trzy istniejące tomiki i przeczytałam je z prawdziwym uznaniem zarówno dla treści jak i dla formy wierszy. Na pożegnanie Niny Pawłowskiej wybrałam jej wiersze „Śnieg majowy” z tomu „Ja po raz drugi” i „Wybór” z „Ja po raz trzeci”

Śnieg majowy

*Ja przecież nie czekam
Mnie już nie ma
Odplynęłam w przestrzeń
Wstecznego lusterka
Roztopił mnie śnieg
Rozmazał wiatr
Uważaj
Mogę być teraz (...)
We wszystkich wymiarach
Najbardziej niespodziewanie
Stanę nagle w oknie
Albo w nogach łóżka
Wyciągniesz rękę podświadomie
I mimo woli
Jesteś tylko sobą
A ja
Przecież nie czekam
Znikam szybko
W prostokącie
Wstecznego lusterka*

Wybór

Zanim
Przed twoimi oczyma
Przewędruje
Orgia
Wykrzywionych
Histerycznych słów
Zmieniających papier
W bulgoczące bagno
Zanim cię pochłonie
Dotknij
Ciepłego
Świeżego wierszyka
O jaśminach
O malwach
I o wsi ojczystej
Zatrzymaj oczy
Na kwitnącej wiśni
Posłuchaj
Jak czas dojrzewa
Wlewając się w kłosa
Zanim przewędruje
Zanim cię pochłonie

Nina Pawłowska się oddała. Minęły już prawie cztery miesiące od jej śmierci....

Krystyna Kamińska



Urodziła się 1.VII.1951 r. w Guzowie koło Żyrardowa. Zmarła 4.VI.2003 r. Pochowana na Cmentarzu Komunalnym w Gorzowie. Ukończyła LO w Gorzowie. Debiutowała w 1977 r. na łamach „Nadodrza”. Mieszka w Gorzowie. Działa w Stowarzyszeniu Promocji Kultury.

Wydała tomy wierszy, wszystkie w Gorzowie: „Drzwi otwarte” (1979), „Ja po raz drugi” (1985), „Ja po raz trzeci” (1994).

O „Ja po raz trzeci”

Wiersze pani Niny są ludzkie, sprowadzają widzenie świata do spraw najprostszych, do konieczności rezygnacji z lotów, z marzeń w imię zgody na egzystencję ziemską. Prawo i bezprawie, miłość i nienawiść, życie w tłumie i samotność poetka próbuje w swoisty sposób pogodzić w wierszach z kwitnącą wiśnią, dojrzewającymi kłosami, zdolnością przebaczenia, miłością, nawet bez wzajemności, oswojeniem przerażenia, chytryości, kamuflażem, usuwaniem się w cień historii, wreszcie milczeniem. Jeśli takie wrażenia można odczuć po lekturze 25 wierszy składających się na zbiór „Ja po raz trzeci”, to chyba dużo.

Ireneusz K. Szmidt



Reality show

felieton o śmiertelnym zagrożeniu

Śmierć jednego z uczestników programu „Tylko miłość”, będącego typowym przykładem reality show, wymusiła na wszystkich konieczność zastanowienia się nad tego rodzaju programami. W świetle bowiem danych o wielkiej oglądalności reality show, zwłaszcza przez młodzież, nie można przejść obojętnie wobec takiego zagrożenia. Zagrożenia, gdyż wszystko co prowadzi do aktów samobójczych jest wielkim problemem.

Co jeszcze bardziej bulwersujące, to fakt, iż realizatorzy programu wiedząc, że dziewczyna odmówi wyznaniu miłosnemu chłopaka oraz zdając sobie sprawę z tego, że jest to człowiek bardzo prostopadły i wrażliwy, nie poinformowali go o odmowie. Ba, nawet go zachęcali, mówiąc, że zawsze jest przecież nadzieja. I uczestnik programu miał taką nadzieję, obnażając przed kamerą swoje uczucia, łzy, nawet błaganie. Odmowa, śmiechy na widowni, były takim poniżeniem, którego chłopak nie mógł przetrwać. Po nieudanej próbie samobójstwa, nastąpiła próba udana. Młody chłopak nie żyje.

Ktoś może powiedzieć, że przecież nikt nie kazał mu brać udziału w tym programie. Oczywiście, jest to prawda, ale... tego typu programy łudzą ludzi, dając nadzieję. Wielokrotnie pieniądze dla uczestników nie są ważne lecz cel. Odzyskanie dziewczyny było najważniejsze dla uczestnika, dla realizatorów liczyła się tylko sensacja, ludzkie emocje i porażka chłopaka. Sam prowadzący śmiał się z zapłakanego młodzieńca – dziś denata.

Tragedia ta unaocniła wpływ mediów na ludzi. Każdego dnia wielu młodych ogląda takie programy i napawa się nimi. Wyśmiewa okazywane tam uczucia, jednocześnie zatracając granicę między fikcją medialną, a realnym życiem. Nazwa reality show nie jest adekwatna do prawdy takiego typu programu, którą jest reżyserowanie pewnych sytuacji, by były jak najbardziej interesujące, a zarazem tragiczne, bo tragizm sprzedaje się najlepiej. Do tej pory granica świata medialnego była pewnym parawanem, dającym poczucie bezpieczeństwa. Dziś – parawan opadł i naiwny odbiorca czy uczestnik programu czuje się zagubiony. Nikt przecież nie uczy młodych ludzi odbioru reality show. Nikt im nie pokazuje drugiego dna, czyli stojącej za programem kwestii finansowej, a więc zarobku producenta. Żerowanie na ludzkich uczuciach jest opłacalne – wzrasta oglądalność programu, sponsorzy zamieszczają reklamy – interes się kręci. Człowiek i jego wrażliwość są tylko trybikami w maszynie biznesowej. Bez zwrócenia uwagi młodzieży na taki właśnie wydzźwięk, taki cel wszelkich reality show, dochodzi do sytuacji, iż młody człowiek jest w stanie przed kamerą do całkowitego obnażenia, zarówno fizycznego jak i duchowego. Nie ma zahamowań, a przecież w życiu nie wszystko jest na sprzedaż!!! Obnażenie własnej duszy przed jednym człowiekiem to już ryzyko, a przed całą widownią jest swego rodzaju aktem samobójczym. Mało kto może przetrzymać takie zdarzenie, choć wielu się na nie decyduje. Tylko edukacja w tym zakresie może uchronić dzisiejsze pokolenie od ulegania wpływom tego rodzaju programów, których zapewne z czasem będzie coraz więcej. Tylko w „wychowaniu, które jest taką sztuką, która nie znosi żadnych szablonów i żadnych ram” - jak o procesie wychowania powiedział Aleksander Kamiński, autor „Kamieni na szaniec” w rozmowie z Januszem Korczakiem, człowiekiem dla którego dzieci i ich problemy stanowiły sens życia, możemy upatrywać ocalenia. Uczmy krytycznego odbioru reality show, by dalsze tragiczne wypadki nie miały już miejsca.

Szczyście

mam szczęście
do byczych karków
obwieszonych złotem
napychanych fast foodem
zalewanych colą

mam szczęście
do bezmózgich osiłków
co w tępych pyskach
noszą pomyje
całego świata

powinno się im przyznawać
na stałe najwyższą grupę
inwalidzką za ślepotę
oczu i serc
mam szczęście

Zaszufladkowanie

są poeci
którzy piszą
dla siebie i tylko
pod innych

są poeci
którzy lubią
tłumaczyć
się
ze swoich
tworów

są
o umiejętnościach
równych
mistrzom
i częstochowskim
rymom

są filozofowie
i rzemieślnicy
nobliści
i tacy o których
nikt nie słyszał

a ja?
ja
na szczęście
nie
jestem
poetą

* * *

Zaczynam
i
nie kończę
dlaczego
nie mogę
tak
z ŻYCIEM



Hanna Kaup

Z pewnością urodziłam się i nadal żyję (jak długo to potrwa nikt nie wie). Drzemią we mnie pomysły, natury, chraktery – ciągle do odkrycia. Pracuję nad sobą nieustannie, czasami wychowuję dzieci, bywam tu i ówdzie. Prawdopodobnie coś pożytecznego udało mi się zrobić, może też coś osiągnęłam. Jednego tylko ciągle nie potrafię – zmienić uporu Skorpiona.

Myszę, że najciekawsze jest odkrywanie, więc jeśli chcesz – Drogi Czutelniku – poznać mnie jakkolwiek, próbuj.

Bardzo dobry debiut!

Otrzymałem do rąk własnych od samej autorki, małą książeczkę, wydaną przez nią własnym sumptem w gorzowsko-wrocławskim wydawnictwie „Stehak”. Tytuł: „44 zaskoczenia”. Przyznam, że i ja z każdym przeczytanym wierszem doznawałem kolejnych zaskoczeń. Im byłem bliżej końca lektury, utwierdzałem się w przekonaniu, że mam do czynienia z prawdziwą poezją.

Haniu, witamy Cię w „Pegazie” i w środowisku pisarskim Gorzowa. Pisz dalej. Twoje wzruszenia niech naszymi się staną.

Ireneusz K. Szmidt



TRYPTYK PROWINCJONALNY

1. Zielone oczy Ludwika

Trzeba ją było najpierw wyciągnąć z wody. Do tego najlepiej nadał się Józef. Silny, sękaty i umiał pływać. Namówili go i Józef wskoczył. Patrzyli z Glinianej Górki, jak do niej podchodził. Głowa dziewczyny unosiła się na poduszce włosów, które ruszały się wokół niej jak młode żmijki. Stopy opadały w głąb, piersi prześwitały do góry.

Józef nawet nie musiał pływać, bo woda, tam gdzie ją zniosła, nie była zbyt głęboka. Nie mieli jednak do tej glinianki zaufania, od kiedy chłopak Seweryna, będzie już temu ze trzy lata, stracił grunt i dopiero trzy dni później bosakiem przyciągnęli go do brzegu.

Józef wziął ją za włosy i przyholował na płyciznę. Potem uniósł i szedł z nią w wodzie po kolana, a jej długie włosy ociekały strużkami.

Gdy leżała już na trawie, stanęli nad nią zwartym kołem.

To nie byle jaka gratka zobaczyć ją całą, jak leży i w dodatku całkiem голуśka. Jan, który znał ją przed tym, co się stało, powiedział, że miała zielone oczy.

Józef, silny, sękaty jak stare drzewo, chciał zobaczyć. Weisnął się między chłopów, cały jeszcze mokry i nachylił się nad utopionym ciałem, które nie byto jeszcze ani sine, ani obrzękłe. Odsunął jej powieki, by wyglądała jak żywa. Komu innemu by nie pozwolili, ale jemu?... To on ją przecież wyciągnął z wody...

I wszyscy zobaczyli, że oczy miała naprawdę zielone.

– Jak prawdziwa topielica – zauważył Seweryn

Teraz, gdy tak leżała na trawie w kwiatkach koniczyny i już lekko obeschła, naprawdę było na co popatrzeć.

– Gdyby to moja miała takie cycki – westchnął z żalem Stary.

Stary nie miał więcej niż czterdziestkę, ale od wczesnej młodości nosił wąsy i brodę. Dlatego wołali na niego Stary.

Leżała w środku zwartego koła. Całkiem nieżywa. Oni stali i nie wiedzieli, co dalej robić. Żał im było odchodzić do swoich domów a ją oddawać tam, gdzie należało. Dobrze było tak sobie stać i patrzeć, i gadać o tej nieszczęsnej dziewczynie.

Józef zamknął jej oczy.

– Odejdźcie – powiedział. Wziął ją pod plecy i uda, uniósł i poszedł. Długo za nim patrzyli. Żał było odchodzić.

– Na pewno tak prędko jej nie odniesie – powiedział Seweryn – Położy ją gdzieś i sam będzie patrzył.

– E, tam. Po co patrzeć – Stary pokazał dziurawe zęby i wskazującym palcem prawej ręki kilka razy poruszył w tutce lewej pięści.

– Co ty, k...? – zawiesił pytanie Jan, który coś o niej wiedział. – To była dobra dziewczyna. Tak w mieście mówili. Tylko...

– Tylko co? – dopytywał się Bolo

– Nieważne – zamknął go Jan. – Pójdziemy, co?

Poszli. Bardzo powoli. Nikomu się nie spieszyło, ale poszli.

Zobaczyli go zaraz za łąką. Nawet niedaleko z nią uszedł. Nawet w żyto nie skręcił ani za przymę torfu, bo Józef nigdy mądry nie był.

W pojedynkę to nikt by rady mu nie dał, ale kupą...?

Bili długo, aż się nie ruszał.

– Dosyć – powiedział Seweryn – już ma dosyć, to ścierwo.

Polubili tę nieznaną dziewczynę. Trudno powiedzieć za co, ale polubili. Jakaś sympatia nie wiadomo za co. Nie wiedzieli nawet po co tu przyjechała. Jak rano szła drogą, a oni stali z sikaczem pod sklepem, Jan powiedział: – Ja ją znam, widziałem ją w mieście. Nawet wiem jak ma na imię.

Zapatrzeni nie spytali o imię. Nie to było ważne. Już wtedy ją polubili, bo była inna od tych, które znali. Bo była ładna, ładnie ubrana, kołysała biodrami i miała długie nie związane włosy. Przy każdym kroku falowały w powietrzu. Józef wtedy powiedział, że cały miesiąc nie ruszy alpagi, byle tylko go chciała. Każdy by nie ruszył. A ona chodziła tam i z powrotem i nie wiedziała, że polubili ją mężczyźni. Chodziła tak jeszcze w południe, a potem była taka chwila, że stracili ją z oczu. Więcej jej nie widzieli. Poszła w stronę lasu i nie wróciła. Gorąco było, więc pomyśleli, że warto by się wykapać. Jan powiedział:

– Może bym poszedł nad staw, dawno tam nie byłem.

Józef też dawno nie był i Stary, i Seweryn. Staw był za łąką, niedako lasu.

Poszli. Najpierw zobaczyli jej sukienkę, jak wisiała na krzaku. Myśleli, że się opala, więc w kucki przeskakali wszystkie krzaki. Nigdzie jej nie było. Bolo, który dołączył do nich po drodze, bo opuścił ich wcześniej, żeby coś załatwić, poszedł dalej aż na Glinianą Górkę. I chyba ją zobaczył, bo zaczął machać do nich, żeby za nim weszli. Nie wołał, bo myślał, że ona tak sobie tylko pływa na wznak, z uszami w wodzie, bez żadnego ruchu. Tylko jej włosy pływały jakby osobno.

– Ona się utopiła. – powiedział wtedy Jan. – Pewnie po to tu przyjechała. W mieście mówili, że kto chciał, to ją miał.

Józef to sobie zapamiętał.

Ta stara świnia, Józef.

Dobrze mu tak, że się nie rusza.

Jeszcze raz popatrzyli na nią. Słońce było już bardzo nisko i było czerwone. Ładnie wyglądała w tym słońcu, jak żywa. Oczy miała szero otwarte. Zielone oczy.

– Szkoda takiej dziewczyny – bardzo smutno powiedział Stary. – Szkoda.

A Seweryn: – Szkoda, jak mi Bóg miły, szkoda... Nawet nie wiemy jak się nazywa.

– Ludwika – powiedział Jan.

2. Dobry kumpel Feliks

W tym mieście upijały się nawet dzieci. Nic dziwnego, że zaczął pić także stary mleczarz Antoni. Śmieli się z niego, że najlepiej to mu mleczko przez smoczek smakuje, ale Antoni długie lata nic sobie z tego nie robił i nawet najlepszemu kumpelowi odmawiał.

Najlepszy kumpel Antoniego, kominiarz Feliks, jak wszyscy jednogłośnie orzekli, był najfajniejszym facetem w mieście. Feliks nawet dzieciom nie miał serca odmówić i może właśnie dlatego zaczął pić także Antoni.

To była sobota. Wszyscy pamiętają, że to była sobota i że to była cholernie nudna sobota w samym środku lata. Feliks wracał z roboty umorusany jak zwykle i wtedy na rynku spotkał całą paczkę. Siedzieli w kucki koło startej pompy, bo było gorąco i palili.

– Cześć, chłopaki – powiedział Feliks i chciał iść dalej, do domu, bo po robocie zawsze szedł najpierw do domu. Gdy wieczorem zasiadał „U Joanny” nikt by nie poznał, że jest kominiarzem.

– Cześć, Feliks – powiedzieli chłopaki – ale dziś gorąco.

– Gorąco – przytaknął Feliks, – Cholernie gorąco. Gdyby nie ta sadza na gębie, to bym się na murzyna opalił.

Chłopaki wybuchnęli śmiechem. Taki fajny był ten Feliks. Zawsze umiał coś dowcipnego powiedzieć. Szósty krzyżyk hulał mu po grzbiecie, żonę pogrzebał, dzieci i wnuki w świat wielki wyprawił, a jeszcze stać go na żarty.

– Feliks – zagadnął nagle Osiemnastek. Lat miał nie więcej jak szesnaście ale wszystkim, zwłaszcza Joannie, wmawiał, że już dawno osiemnaście skończył. – Napijmy się dla ochłody ciepłego piwa?

– Zgłupiałeś Osiek? Piwo proponujesz? Feliks woli coś mocniejszego, nie Feliks?

Dobry humor miał dzisiaj Feliks. Tydzień dobrze się skończył, choć na początku zleceń miał co kot napłakał. Czasy takie, że coraz mniej roboty dla kominiarzy, bo w nowych blokach robią tylko centralne.

– Nie jestem umyty, chłopaki – usiłował kumplom stawić opór, ale bez specjalnego przekonania, bo Bogiem a prawdą to pić mu się chciało.

– Idziemy, Feliks – ktoś wziął go pod rękę. – Wypełniliśmy kupony i musimy się z tobą napić na szczęście.

Zaśmiał się Feliks i poszli. Zdziwiła się gruba Joanna, gdy w królestwie swoim zobaczyła chłopaków z nieumytym Feliksem. Jak długo tę knajpę miała, to się jeszcze nie zdarzyło.

– Królowo... – zamówił Osiemnastek – rrraz basss i piwo.

Nie spozstrzegli, jak im czas przeleciał. Słoneczko zachodziło za rynkowe dachy.

– Krrróllowo... - zagulgotało w gardle Osiemnastka. – Kontynuu...jemy.

Chłopaków było pięciu, Feliks szósty.

– Feliiks... – nie wiadomo, który to powiedział. – Feliks, tego komina teraz to byś nie wyczyścił. I pokazał dom w rynku, prawie do rozbiórki.

Stary Feliks trzeźwy nie był, ale fach swój znał dobrze.

– Na pewno potrafię!

– E, tam, przechwalasz się, Feliks – powiedzieli chłopaki.

– Pokażę wam, gówniarze, co potrafię – wkurzył się Feliks i wychylił do końca kufelek. – Chodźcie, to wam pokażę!

Cholernie nudna byłaby ta sobota gdyby nie Feliks. Poszli.

Dom miał dwa piętra i dachówką kryty, spadzisty dach.

Chyba z pięć minut stali z zadartymi głowami i coraz więcej ludzi obok się zbierało. Już myśleli, że Feliks stchórzył, gdy uniosła się kłapa dymnika i w kwadratowej dziurze zobaczyli jego czarną głowę.

Przez ten gorąc nie pamiętali, ile dziś wypili. Chyba niemało, bo Osiemnastek zobaczył, jak się Feliks nad dachem uniósł i na swej miotle spiralą w niebo poszybował. Ale zaraz wrócił i na czworakach podszedł do komina. Szmer strachu, a może podziwu, przeszedł po ludziach, kiedy wstał i zapuścił szczotki do komina. Raz i jeszcze raz, żeby było fachowo, porządnie, według starej kominiarskiej szkoły. Potem zwinął linkę, przerzucił przez szyję, spojrzął w dół i krzyknął:

– No i co, chłopaki? Nie wyczyściłem?!

Widocznie mu pociemniało w oczach, jak spojrzął w dół albo dachówka się zapadła, bo kiedy chciał już wracać, noga mu się obsunęła.

I Feliks poleciał. Tak jak dzieci co się dla zabawy turlają z nasypu albo z górki na pazurki. Ludzie zdrętwieli. Osiemnastek coś zabelkotał, a potem ryknął jakimś strasznym głosem i zataczając się zaczął uciekać.

Feliks szczęśliwie upadł, nic mu się chyba nie złamało, ale musiał się mocno przestraszyć, bo stanęło mu serce...

Nie ma już kominiarza Feliksa. Dobry był fachowiec a kumpel to chyba najlepszy. Nic dziwnego, że nawet mleczarz Antoni zaczął pić „U Joanny”.

3. Ślepy

Nie wiadomo, kto właściwie zaczął. Faktem jest, że oko wypłynęło. To nie byłaby żadna tragedia, ale to było ostatnie oko...

Chyba ze cztery lata temu, gdy Ślepy Zenon jeszcze nie był ślepy, na dansingu w mieście wypłynęło mu pierwsze. Wtedy zaczął Jakub Bala, który miał wielkiego pecha. Kogo się tknął, to albo mu nos albo szczękę albo rękę połamał. Miał także pecha do dziewczyn – która jemu się podobała, to znowu on się jej nie podobał i tak w kółko. Wtedy

podobała mu się taka jedna, co przyjechała na wakacje. Strzelił sobie kropelkę na odwagę, potem drugą i jeszcze jedną i ciągle nie mógł się zdecydować, aż Zenon, który był inteligentny, pierwszy z nią zatańczył i odtąd tańczyli razem. Pechowy Jakub powiedział, że nie daruje tego Zenonowi i nie darował. Przed tym jednak uczciwie go zawołał i powiedział:

– Zenek, wiesz, że jestem pechowy. Zostaw studentkę w spokoju, dobrze ci radzę.

Był już nieźle pijany, bo trochę przesadził z kropelkami na śmiałość. Zenon się zaśmiał i dalej z nią tańczył. Też miał swoją ambicję, a żadna miejscowa mu nie pasowała. Tańczyli, coś szeptali sobie raz do jej, raz do jego ucha, ona chichotała i spoglądała niby to przypadkiem w stronę Jakuba. Zenon musowo gadał jej o Jakubie, bo patrzyła już teraz otwarcie, ironicznie, a nawet z politowaniem.

Wtedy wypłynęło pierwsze oko. Nie powiem, że Zenon nie był winny. Mógł chociaż studentce głupot o Jakubie nie nawijać, to może mniej by go rozeźlił. Ale jakby nie było, zaczął Jakub.

Najpierw Jakub zawołał, jak tańczyli koło niego:

– Puść to ciele, bo cię osra!

Zenon poczerwieniał, ale nic nie powiedział. Potem Jakub chciał ją odbić ale ona powiedziała, że nie tańczy z pijanymi facetami. To on wtedy:

– Ja temu twojemu palantowi nogi z dupy powyrywam!

W przerwie Zenon odprowadził ją do stolika. Potem podszedł do Jakuba, coś do niego powiedział, a ten złapał go za łokieć i wyprowadził z sali. Czuliśmy, co się święci, więc paru z nas poleciało za nimi. W końcu to kumple i szkoda, żeby z powodu baby przytrafiło się komus nieszczęście.

Zenon już nie wrócił, bo mu wypłynęło pierwsze oko. Tak został Ślepy.

Teraz to właściwie nie wiadomo, kto zaczął. Ślepy od dawna szukał okazji, by się za to swoje oko zrewanżować. Chciał coś takiego zrobić Jakubowi, żeby ten na całe życie zapamiętał. Chłopaki wiedzieli, że w kieszeni nosi kosę i gazową szprycę. Chodził też wieczorami do sali gimnastycznej na judo czy karate. Wcale mu się nie dziwił – żadna dziewczyna nie chciała się z nim teraz umawiać. Tym bardziej, że robotę także stracił i elegancją już nie imponował. A przecież niegłupi był, miał skończone technikum i nawet studia jakieś zaoczne zaczął. Ale już kasy nie miał, żeby je dokończyć. Kupa złego na jednego. Wszystko po tamtym nieszczęściu... Było nam głupio, ale co mogliśmy poradzić? Tymbardziej głupio, że myśleliśmy: chyba już koniec tej całej historii jak się Jakub ożeni.

Bo Jakub Bala miał dziewczynę i miał się wreszcie żenić. Był z nią właśnie na dyskotecę, gdy Ślepy podszedł i poprosił ją do tańca. Jakub nie miał nic przeciwko temu.

Zatańczyli. Jakub obserwował i widać nie podobało mu się jak oni tańczyli, bo Zenon cały czas do niej gadał i gadał. Ale nie reagował. Poszedł do bufetu i zamówił drinka. Potem jeszcze jednego i jeszcze. A oni tańczyli chyba już piąty raz, bo didżej żadnej przerwy nie robił. Jakub wrócił do stolika ze szklanką, a wtedy oni poszli do bufetu, a potem znowu na parkiet. Jakub nie wytrzymał, podszedł do nich, wziął panienkę za rękę i posadził aż krzesło stęknęło. Wtedy przyskoczył Ślepy Zenon.

– Czemu nie pozwalasz jej ze mną tańczyć, ty kanalio - powiedział. Jakub uderzył. Ale tak pechowo, że już było po wszystkim.

Ślepy zdążył tylko zawołać:

– Panie Jezu, nic nie widzę! - potem położył się na podłodze, która wyglądała jak czarna ziemia i zaczął płakać jak dziecko...

To nie byłaby żadna tragedia, ale to było ostatnie oko i przez to zrobiło się cholernie głupio.

Tak sobie myślę, że teraz to nie będziemy nazywać go Ślepym...

Władysława Wróblewskiego zabawy słówkami

Ara

Albin, albatros Albanki Ali,
Al aligator, alchemik Ali,
A z Alim agent Apolinary,
Aprobowali alt arii Ary.

Burak

Burczał barwy bordo burak:
– Bzy? Begonie? – Banał, bzdura.
Biegle w barszczach białogłowy
Biorą bukiet buraczkowy!

Bycze sprawy

Był raz sobie stary byk.
Byczy kark miał oraz ryk.
Dnia pewnego z trawką w pysku
Leżał bykiem na pastwisku
(Albo – jak ktoś sobie życzy
– **Byczył się**, po prostu **byczył**).

Niedaleko byka brykał
Młody byczek z cielętnika
Brykał, a gdy się roz-brykał,
Nagle bykiem wyrznął byka.

Starzec aż z wrażenia siadł.
Na młokosa spojrzął bykiem
I zaryczał straszny rykiem:
– Czyś ty chłopcze z byka spadł?
Wszak wśród zasad cielętników
Już od wieków bykiem stoi,
Ze steranych osobników
Bóść rogami nie przystoi.

Winowajca już nie brykał,
Bo go zdjęta szczerza skrucha:
– Wybacz – rzekł – **strzeliłem byka**.

– I byk w mig się... udobruchał,
Bo choć czasem groźnie ryczy,
Równy gość jest- kumpel **byczy**.

Danuta

Dość dzielna dżudoczka Danuta,
Dopadłszy w deszcz dżidy i dłuta,
Dla draki dwie doby w dębinie
Dziobała dorodne dwie dynie.

Pieśniarz
Pan Prokop, pop pieśniarz z Przemysła,
Plażując pod palmą przemysłał
Przepyszną pieśń-przebój, pieśń z puentą:
„Pcheł w papciach pstrych przemarsz pod piętą”.

Dwór

Szumi-huczy stary bór.
W borze stoi biały **dwór**.

A w tym **dworze** w borze mieszka
Dwór **dwornego** króla Mieszka.

Na tym **dworze**, w **dworze**, w borze,
Każdej nocy **dwórki** hoże
Z **dworzanami** w takt muzyki
Tańczą walce i walczyki.

„Raz-dwa-trzy” i „trzy-dwa-raz”,
Piękne walce aż po brzask
Tańczy w **dworze** cały **dwór**,
A na **dworze** szumi bór...

Łup

Zbój, którego w kościach **łupie**,
Zbój, co ma we włosach **łupież**,
Zbój imieniem **Łup**,
Ma w chałupie **łup**.

To kokosów wór w **łupinach**.
Drży w posadach chałupina,
Gdy **łupieżca** **Łup**
O jej **ślup łup „łup!”**.

Młyn

Majster Michał, młody młynarz,
Miałką mąkę miele milczkiem,
Młynarzowa zaś Malwina
Miele w młynie mu... jęczyzkiem:

– **Migiem mi mój mężu** powiedz:
Mamyż mąkę na makowiec?
Mam już w misie mnóstwo maku,
Mam migdałów moc do smaku.
Mąki miły, mąki mało!
Mielże mi ją mężnie, śmiało.
Mój makowiec, moje ciasto
Ma nakarmić całe miasto!

Szproty

Szczur, szyper-szperacz (szczwany Szkot),
Szuka w szuwarach szczupłych szprot.
Szprocia zaś szajka szelm w szyszakach,
Szczypie szczaw z szynką w szynku szpaka.

Zamek

Zaraz za Zgierzem, zboczywszy z drogi,
Zobaczysz zamek zimny, złowrogi.
Zacnie go zdobią drzwi zbrojne w kłamki
Zacnie zgrzytają ich złote zamki.

Zaledwie w Zgierzu zapadnie zmrok,
Zachrzęści w zamku za krokiem krok
Znak to, że zwiedza zamknięty obiekt
Zbój Zygfryd, zawsze zamknięty w sobie...



Władysław Wróblewski

Urodzony 7 I 1962 r. w Witnicy. Absolwent animacji społeczno-kulturalnej WSP w Zielonej Górze.

W końcu 1996 r. z inicjatywy aktora Wojtka Deneki odbył się w „Lamusie” pierwszy wieczór autorski Władysława Wróblewskiego. Miały się odbywać cyklicznie. Skończyło się na bodaj trzech, ale idea zaowocowała w postaci książki wydanej przez klub pt. „Zaczarowana fontanna”. Jej inicjatorką była Magda Cwiertnia, która poszukiwała tekstów do swoich poetyckich rysunków Gorzowa.

Współpracuje z „Gazetą Zachodnią”, pisuje reportaże oraz wierszowane bajki na tematy zamówione przez czytelników. W 1995 r. z okazji Dnia Dziecka (1 VI) na łamach „Gazety” ukazała się kolorowa wkładka zawierająca bajki: „Zaczarowana fontanna”, „Przygody Koziołka Matołka – Księga witnicka”, „Porwanie”. Dwie pierwsze weszły do książki „Zaczarowana fontanna” (Gorzów 1999), a ponadto „Gorzowski hejnał” oraz „Wielka ucieczka”. Współpracuje z pismami dla dzieci. Prawie wszystkie jego opowiadania i wiersze dla dzieci były emitowane w programie „Kukuła” w Radiu Zachód.

W 2002 r. ukazała się jego książeczka dla dzieci pt. „Tola i Tolek odkrywają elektryczność” wydana przez Zakład Energetyczny w Gorzowie a propagująca wiedzę o elektryczności.

Jest autorem tekstów piosenek, najbardziej znana – „Konik polny” z muzyką Jerzego Pawła Dudy zdobyła tytuł Rajdowej Piosenki Roku na festiwalu „Bazuna” w 1997 r.

O sobie:

Mam problemy z promocją tego, co napiszę. Nie potrafię tym się zajmować. Nigdy nie startowałem w konkursach poetyckich, bo nie mam zacięcia sportowego. Nie zajmuję się też poważnymi wierszami, które miałyby szansę ukazania się w jakimś tomiku. Interesują mnie formy żywe: piosenki, teksty kabaretowe, zabawy ze słówkami. Codziennie próbuje coś nowego napisać.